

Biletyn Wojewódzkiego Domu Kultury Nr 2(20) 1983

Publiczna Biblioteka
Kamień Górnickiego

TELEFON

Dyskusja



Prayer of the
Sinner



1600



Dyskusja

BIULETYN WOJEWÓDZKIEGO DOMU KULTURY W BIAŁYMSTOKU

W NUMERZE:

	str.
W stronę Wilna	
Zbigniew Waydyk — Fraszki	2
Adam Dobroński — Na linii Białystok — Wilno	3
Jan Trynkowski — Ojczyzno moja?	6
Elżbieta Feliksiak — Człowiek na pograniczu kultur	13
Eugeniusz Kurzawa — Nasi za wschodnią granicą	15
Grzegorz Berłowicz — Polski konsulat; O języku państwowym	słów parę 18
Ali Miśkiewicz — Do Pani Janiny Boreckiej — list otwarty	19
Wileńskie głosy — Romuald Mieczkowski, Jan Ciechanowicz, Józef Szostakowski, Marcelijus Martinaitis	21
Jan Leończuk — Notatnik kresowy	30
Waldemar Fiedorowicz — Daleko i blisko	33
Pocztylion literacki	35
Małgorzata Grynczel	36
Witold Adam Rosołowski	37
Polemiki	
Kazimierz Maksymilian Derkowski — Po plenum WK ZSL	w Białymstoku 38

Współpraca: Jan Leończuk



Korekta do inwokacji

Litwo, ojczyzno moja...
Zamiast bohaterów masz dzisiaj gieroja

Pamięć o Wilnie

W doczesnej podróży
Dobrze człowiekowi służy

Deklaracja

Choćby o chlebie i wodzie
Przy Twojej, Wilno, urodzie

Co mi tam...

Co mi tam Oxford, Padwa, Sorbona
Alma Mater Vilniensis humanizmu korona

Piąta Kresowa

Od Wilna po Monte Cassino i Piedimonte
Amplituda biogramu i chwały Dywizji Piątej

Na Rossie w epoce decybeli

Na Rossie człowiek rad słyszy
Wrota skrzypiące bohaterskiej ciszy

Długo jeszcze...

Mocnym dębom — Dewajtisom
Długo rosnać jeszcze nad Wilią i Issą!

Otucha w zły czas

Parę wileńskich mitów
Wyjętych z depozytu

Tak długo pamięć o Wilnie

Jak długo na Rossy desancie
Serce Twoje, Komendancie

Zbigniew Waydyk

NA LINII BIAŁYSTOK — WILNO

Jak jest — widać. Ale czy rzeczywiście liczą się wyłącznie fakty, które można zobaczyć? Chciałoby się przecież wiedzieć, co tkwi w umysłach i sercach rodaków, o czym marzą w skrytości.

Proponuję kilka tylko z konieczności refleksji historycznych, z przywołaniem zatem głównie zaszłości, o których pisano mało lub wcale.



Pierwsza wzmianka źródłowa o dobrach białostockich pochodzi z 1514 r., a o wsi Białystok chyba dopiero z 1581 r. To w XVI właśnie wieku (1520 r.) powstało województwo podlaskie, przyłączone w 1569 r. do Korony, czyli polskiej części Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Przez obecne nasze miasto od tej pory przebiegała granica. „Koronnymi” stały się m.in.: dwór białostocki, Wysoki Stoczek, Starosielce-Horodniany (Nowe Miasto), ale nadal w Wielkim Księstwie Litewskim pozostawały: folwark Białystok, wsie Skorupy, Zaścianki, Pieczurki, Wygoda, Bagnówka, Litewskie, to znaczy również, że podlegające ośrodkowi wileńskiemu. Przypomnieć zresztą nie zaszkodzi, że kolejni właściciele dóbr białostockich z rodów Raczkiewiczów a następnie Wiesiołowskich sprawowali wysokie urzędy litewskie. Zależności typu administracyjnego nie zanikły nawet po upadku Rzeczypospolitej, bo nad obwodem białostockim (od 1843 r. w guberni grodzieńskiej) czuwał z woli carów Generał Gubernator Wileński a nie Generał Gubernator Warszawski. Ten akapit zamknę informacją, iż niektóre zależności „urzędnicze” Białegostoku od Wilna pozostały w mocy aż do 1939 r. Tak na przykład było w odniesieniu do kolei, sądów a przejściowo także szkolnictwa.



Podobnie przedstawiała się zależność kościelna. W roku ubiegłym święciliśmy 600-lecie powstania diecezji wileńskiej. Wszedł w jej skład przecież i Białystok, choć nie cała obecna Białostoczczyzna. Gwoli ścisłości przypomnijmy kilka faktów: parafia białostocka jest potwierdzona od około 1547 r., od 1671 r. rozpoczął się kult Matki Boskiej Ostrobramskiej, jedynie w latach 1798 — 1847 nasze miasto pozostawało poza diecezją wileńską (w wigierskiej i mohylewskiej), od 1925 r. była to już archidiecezja wileńska. Po dzień dzisiejszy nie nastąpiła oficjalna regulacja granic biskupstw z dawnych kresów Polski. To do Białegostoku w lipcu 1945 r. przyjechał ostatni metropolita wileński, arcybiskup Romuald Jałbrzykowski (zmarł tu w 1955 r.) wraz z wieloma księżmi, i to nad Białką ulokowały się m.in.: Sąd Arcybiskupi, profesorowie Wydziału Teologicznego Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie, a naszą Farę traktowano jak prokatedrę. O danych historycznych mogli nie wiedzieć wszy-

scy wierni, natomiast nie mieli oni wątpliwości, że to w Ostrej Bramie świeci ich Panienska, tam trzeba pielgrzymować, by szukać duchowej pociechy. Tak czynili zresztą nie tylko białostoczanie, ojciec Stefana Wyszynskiego jeździł na Jasną Górę, ale matka aż z Zuzeli kierowała się właśnie do Wilna. To temat na oddzielną opowieść, bo zachowało się sporo anegdot, relacji, artykułów, bo można pójść do wspomnianej Fary (od 1985 r. Bazylik Mniejszej) i popatrzeć na modlących się przed obrazem Ostrobramskiej Matki Miłosierdzia. W 50-tą rocznicę koronacji obrazu wileńskiego kardynał Karol Wojtyła poświęcił kaplicę białostocką mówiąc, że i w 1925 r. w Wilnie i w 1977 r. w naszym mieście tłumy zgromadziła „miłość tego samego dziedzictwa, tej samej kultury”.



Z Białegostoku do Wilna jeździło się z wielu innych powodów. Nad Wilią i Wilejką był także „nasz” uniwersytet, Akademia otwarta w 1579 r. Spełniły się życzenia króla Stefana Batorego i wileńska Alma Mater stała się „głównym czynnikiem kulturalnego oddziaływania na ziemie Litwy i Białorusi, a także Podlasia” (Stanisław Alexandrowicz). Jej pośrednio (poprzez Grodno) podporządkowano w dobie Komisji Edukacji Narodowej białostocką szkołę podwydziałową, w Wileńskim Okręgu Naukowym znalazło się i gimnazjum białostockie (powstałe w 1802 r.), do Wilna zmierzali spragnieni nauk, tam niektórzy obejmowali katedry, powiększali grono mężów uczonych podtrzymujących związki z regionem (przykłady karier Ignacego Żegoty Onacewicza, Michała Bobrowskiego, Ignacego Daniłowicza, Józefa Jaroszewicza). Z Wilna przyjeżdżał i sam Joachim Lelewel, dotarli tu również członkowie tajnego związku „Towarzystwa Zgodnych Braci”, następnie „Zorzanie”, uczestnicy sprzysiężenia Filomatów i Filaretów (przewodził im Michał Rutkiewicz, przyjaciel Adama Mickiewicza). I znów można podawać wiele faktów, wymieniać nazwiska białostockich absolwentów USB z okresu dwudziestolecia międzywojennego, dowodzić wpływu ośrodka wileńskiego na poziom oświaty i życie kulturalne ziem północno-wschodniej Polski. To tak oczywiście, a faktom towarzyszy mgiełka sentymentu, także żalu. Po II wojnie właściwie nie nawiązano kontaktów naukowych na linii Białystok — Wilno, choć pragniemy tego gorąco także my, pracownicy Filii Uniwersytetu Warszawskiego. Oby przyszły Uniwersytet w Białymstoku przejął jak najwięcej z tradycji Uniwersytetu Wileńskiego.



Najłatwiej mi — jako historykowi — dowodzić wspólnego uczestnictwa w ważkich wydarzeniach, procesach zachodzących na kresach Rzeczypospolitej. To na przykład pod wpływem Insurekcji Wileńskiej wybuchło powstanie zabłudowskie 1794 r., to przez Białystok i Białostoczczyznę wiodły szlaki wojsk ciągnących w 1812 r. na Wilno (wspaniałe powitanie Napoleona przez gen. Michała Paca), zaś w 1831 r. gdy Joachim Lelewel

przypomniawszy w Sejmie o Polakach z ziem zabranych, przez obrzeża Puszczy Białowieskiej zmierzał pod Wilno Dezydery Chłapowski z oddziałami posiłkowymi. Nikt nie zrozumie przebiegu 1863 roku na naszych ziemiach, jeśli nie dostrzeże tu dwu orientacji: na Warszawę (Bronisław Szwarce) i na Wilno (Walery Wróblewski). Górę wzięła ta na Wilno, dlatego też koncentracja partii powstańczych z Białostoczczyzny nastąpiła dopiero w kwietniu. W Wilnie wykształciły się również ośrodki przywódcze Żydów, ta była stolica Litwy i miasto Białystok uchodziły za główne centra wielu ruchów politycznych społeczności żydowskiej, m.in. Bundu i niektórych nurtów anarchistycznych. Po uruchomieniu w 1862 r. Magistrali Petersburskiej wzmocniły się kontakty gospodarcze, a Białystok wkrótce awansował na centrum przemysłowe Kraju Północno-Zachodniego uznając prymat administracyjny i kulturowy Wilna.

Legenda towarzyszy zmaganiom polskim u progu drugiej Niepodległości. Nie miejsce tu na odbrązawianie niektórych wątków, Wilno jak dawniej przejęło rolę głównego ośrodka kresowego, a Białystok korzystał z położenia w połowie drogi między obu historycznymi stolicami. Kto o tym nie pamięta, nie zrozumie losów naszego regionu, nie dostrzeże oryginalności wielu rozwiązań, zachowań, procesów. Było miasto nad Białką nadal łącznikiem na linii Warszawa — Wilno w latach II wojny, tu też głównie kierowali się wileńscy akowcy po operacji „Ostra Brama”, tu napłynęli repatrianci.

Nowa granica i układy lat minionych przerwały rzeczywiste kontakty, Białostoczczyzna nagle stała się regionem peryferyjnym, namiastką kresów. O skutkach tej degradacji może się przekonać każdy, a jeśli jeszcze ma wątpliwości, niechaj jedzie na „ścianę wschodnią”. Takie są fakty, ale nie lekceważmy sfery duchowej, odczuć, sentymentów. W tej mierze jakby niewiele się zmieniło, nie jest więc dziełem przypadku, że w Białymstoku mieści się siedziba ogólnopolskiego Towarzystwa Przyjaciół Grodna i Wilna. Ostatnio jeździmy znów częściej do Wilna, przyjmujemy stamtąd gości, widać początki współdziałania zastępującego „wizytowanie”. To cieszy, ale zarazem przybywa zmartwień, bo pogorszyła się sytuacja naszych rodaków w Litewskiej Republice. To problem złożony, „w ruchu”, z wieloma jeszcze niewiadomymi. Bądźmy czujnymi i czynnymi obserwatorami. Czynnymi, nie z racji wzdychania, ale dociekania i działania. Marzy i mnie się znów Białystok jako łącznik, centrum szkolenia nauczycieli języka polskiego na terenach „wschodnich”, z Ośrodkiem Kultury Kresowej, Instytutem Wschodnim (w składzie Uniwersytetu?), ośrodkiem wydawniczym o identycznej specjalności, rynkiem wymiany handlowej, spółkami, forum prezentacji doświadczeń polskiej odnowy i radzieckiej (w tym litewskiej) pierestrojki. Czy to tylko niepoprawne marzenia?

Adam Dobroński

OJCZYŻNO MOJA?

Urodziłem się w Wilnie. Moi przodkowie jeszcze w XVIII wieku nosili nazwisko Trinkunas i byli chłopami, litewskimi chłopami. Pradziadowie byli już Polakami o nazwisku Trynkowski. Prawdopodobnie była to decyzja ich ojca — być może pierwszego Polaka w rodzinie. Pradziadowie moi zanurzyli się w polskości całkowicie i... z konsekwencjami. Najstarszy z nich, Ludwik Gabriel, ukończywszy Uniwersytet Wileński jako doktor św. teologii i prawa kanonicznego, został kaznodzieją (od 1827 r.) i kanonikiem katedralnym wileńskim (od 1836 r.) W 1831 r. kiedy niedaleko Wilna pod Ponarami toczyła się w dzień Zesłania Ducha Św. pamiętna bitwa, w czasie kazania w katedrze do kilkutyśięcznego tłumu wiernych „głosem poważnym, pełnym i dźwięcznym wyrzekł te dwuznaczne słowa: powstańcie, powstańcie, powstańcie, a prawie niedosłyszalnym głosem dodał: z grzechów waszych. Amen.” Musiał zaraz potem uciekać i czas jakiś się ukrywać. 9 sierpnia tegoż roku gen. Chrapowicki, tymczasowy gubernator wojskowy w Wilnie, pisał do głównodowodzącego armią hr. Tołstoja: „Nawet w Wilnie kaznodzieje, a między innymi zbiegły z miasta katedralnego kaznodzieja — Trynkowski, próbowali dwuznacznie objaśniać słowo Boże i wybierać dla swoich kazań teksty nieodpowiadające wymogom teraźniejszości i mogące podburzać do buntu zamiast powstrzymywać wiernych od nieposłuszeństwa”. W kilka lat później, w 1838 r. aresztowany za aktywny udział w spisku Szymona Konarskiego i poddawany okrutnemu śledztwu, zwariował w więzieniu. Działo się to w tym samym dawnym klasztorze Bazylińskim, w którym niewiele lat wcześniej trzymano A. Mickiewicza i jego kolegów. Jeden z uczestniczących w tym samym spisku studentów zeznał w śledztwie, że „aby nazwiska ks. Trynkowskiego nie skompromitować między związkowymi, postanowiliśmy nazywać go księdzem Piotrem, a to stąd, że w poezjach „Dziady” Mickiewicza wchodzi ksiądz Piotr.”

Skazany jak i inni spiskowcy, wywieziony został na Sybir, najpierw kibitką do Tobolska, a dalej pędzony pieszo w kajdanach do Irkucka (3280 km) dotarł tam w grudniu 1839 r. Zamknięty w miejscowym lazarecie — po 10 latach nie odzyskawszy zdrowia psychicznego zmarł w 1849 r.

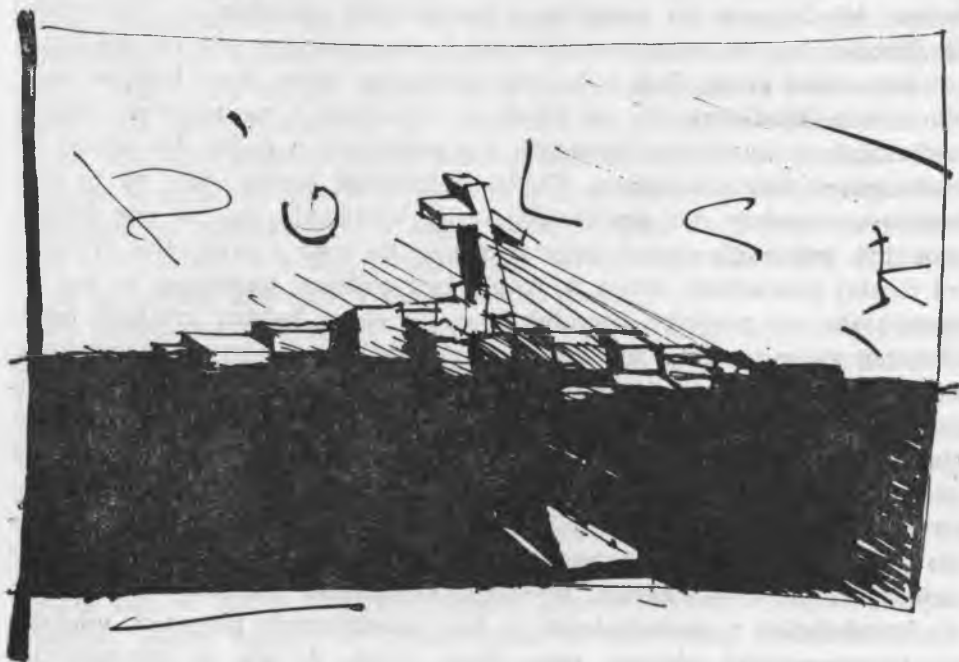
Brat Ludwika, Zygmunt, ukończywszy w 1839 r. rozpiskowaną Akademię Medyko-Chirurgiczną w Wilnie, został przymusowo wcielony jako lekarz do floty czarnomorskiej, gdzie aż do 1846 r. pozostawał pod stałym i sekretnym nadzorem policyjnym. Zmarł w tej obcej służbie zdala od Litwy w 1849 r. Kolejny brat, Paweł — też lekarz i absolwent tejże uczelni, musiał również od 1839 r. służyć w armii carskiej, daleko od stron ojczystych w Syberyjskim Korpusie w guberniach tomskiej, tobołskiej: „za odkrytą pierepiską jewo s Paljakami, po Wysoczajszemu powieleniu ariestowan i sodierzalsja pod strogim ariestom s 11 fewralja 1841 i kak iz wzjatoj u niewo pierepiski niczewo nie okazało k obwi-

nieniju jowo, to i oswożdzen iz pod ariesta i dopuszczen k dołżnosti 1841 goda awgusta 7." Pół roku za sam fakt „korespondencji z Polakami”, w której „niczewo nie okazał”! Szczęśliwie, bardzo zły stan zdrowia spowodował, że został po 19 latach, w 1858 r. z tej służby uwolniony.

Najmłodszy z braci, Bolesław, również student tej samej Akademii gdy władze nie mogąc sobie poradzić z ciągle ponawiającymi się spiskami młodzieży, uczelnię tę zamknęły, a jej słuchaczy rozparcelowały między różne zakłady naukowe w głębi Rosji — znalazł się na Uniwersytecie w Kazaniu, gdzie wkrótce zmarł nie zdążywszy nawet ukończyć studiów. Tak z czterech braci Trynkowskich, do ojczystej Litwy powrócił po wielu latach tylko jeden, Paweł — mój rodzony pradziad.



Choć urodziłem się w Wilnie, najwcześniejsze moje wspomnienia związane są z Kolonią Wileńską, dokąd wkrótce po moich urodziach i niedługo przed wojną przenieśli się Rodzice. Do miejscowości tej, położonej nad Wilenką, kilka zaledwie kilometrów od Wilna, wracam myślami gdy staram się sobie przypomnieć wydarzenia kilku ostatnich moich miesięcy na Wileńszczyźnie.



Imienin w 1944 roku nie pamiętam, któżby je zresztą urządzał w tym czasie dla 9-letniego chłopca... Chyba właśnie wtedy, lub raczej kilka dni później rozpoczęły się w domu przygotowania związane ze zbliżaniem się frontu. Mama uszyła dla wszystkich „plecaki” — mocne, a jednocześ-

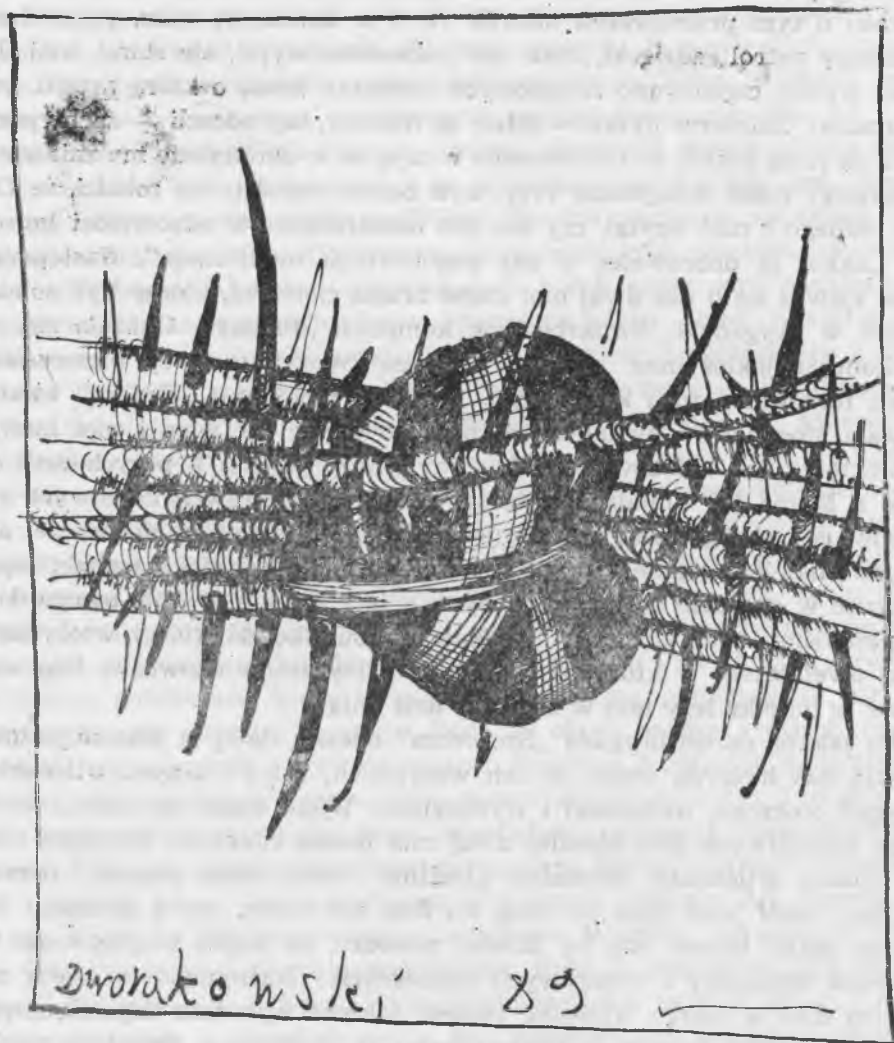
nie rzucające się w oczy swą lachmaniarską workowatością. W naiwnej swej przezorności Rodzice sądzeni, że sam ich wygląd zniechęci tych którzyby chcieli wyciągnąć rękę po ich skromną w gruncie rzeczy zawartość. Zapakowano do nich to co wydawało się najniezbędniejsze w przewidywanej i jakże możliwej wojennej tułaczce. W przydomowym ogrodzie wykopany został starannie zabezpieczony a potem zamaskowany dół, w którym złożone zostały w kufrze i walizkach rzeczy warte chronienia, a których unieść by się nie udało... Cały czas mogliśmy obserwować jak na torze kolejowym (ok. 150 m od domu), jeden za drugim, prawie bez przerw posuwały się pociągi wyładowane sprzętem wojennym, pełne żołnierzy — zdrowych i rannych. Niemcy uciekali. W pierwszych dniach lipca zaczęły się radzieckie nocne bombardowania Wilna. Bliskość toru zatłoczonego transportami wojskowymi groziła ewentualnością, że i tu mogą spadać bomby. Tak więc ze swoimi plecakami opuszczaliśmy dom by przeczekać niebezpieczeństwo na pobliskim wzniesieniu pod lasem. Bomby jednak spadały dalej na Wilno. Do dziś wyraźnie pamiętam widziane z odległości kilku kilometrów nocne niebo nad miastem. rozświetlane wachlarzami błysków wybuchających bomb, przecinane ruchliwymi i jaskrawymi pasmami reflektorów, opadające wolno „flary” oświetlające miasto, rozbłyski pocisków artylerii przeciwlotniczej i dobiegający z dala grzmot eksplozji, stukot wystrzałów. Było to dla mnie — kilkuletniego widza, oglądającego to wszystko z bezpiecznej odległości — widowisko fascynujące swymi mocnymi efektami i emocjonujące swą nie do końca uświadomianą grozą. Tak było o ile pamiętam przez dwie kolejne noce. Wieczorem kładliśmy się do łóżek w ubraniach i na pierwszy odgłos nadlatujących samolotów spiesznie wychodziliśmy z domu, by wrócić po skończonym bombardowaniu. Chyba za trzecim razem, choć na to czekaliśmy, samoloty nie przyleciały i już wydawało się, że noc będzie spokojna, gdy nagle wokół domu rozpoczął się ruch i strzelanina. Trudno mi dzisiaj powiedzieć, która to mogła być godzina, pamiętam że już się rozjaśniało, ale przecież początek lipca to okres bardzo krótkich nocy. Wszyscy się naturalnie zerwali nagleni strachem i różnymi domysłami. Przez okno w półmroku widać było przemykające sylwetki. Podobno ja (tak zapamiętał mój starszy brat) zawolałem: oni mają białoczerwone opaski! Tak było rzeczywiście, realizując plan „Burza” (wtedy oczywiście ani o planie, ani o jego nazwie nie słyszałem), oddziały AK ruszyły w stronę Wilna by próbować zdobyć to miasto. Niestety, wszystko to było źle przygotowane i źle przeprowadzone. Było to oczywiście już wtedy nawet dla mnie — dziecka. Wystarczyło przecież zwrócić się o pomoc do kogokolwiek z mieszkańców, a bez zasadniczych kłopotów udałoby się przeprowadzić oddziały przez linię torów. A tak, na nieszczęście, natknęły się one na niemieckie transporty wojskowe, dostały się pod silny ostrzał i okupiły to życiem kilkunastu żołnierzy. Nacierала brygada „Szczerbca” — kompania „Burego” i troszkę dalej od domu, kompania „Ojca”. Tak zaczął się ten dzień, tak gęsty od wydarzeń, jak żaden inny w moim życiu. Chyba koło południa (?) pojawili się łącznicy AK z po-

leceniem, by gdy pojawią się oddziały radzieckie, witać je serdecznie. Zalecenie to nie było konieczne, trzyletnia okupacja niemiecka była do tego stopnia uciążliwa, że teraz, mimo nienajlepszych wspomnień z okresu sprzed czerwca 1941 r., z nadzieją oczekiwano nadejścia Armii Czerwonej. Wszyscy z całego domu — na parterze mieszkali gospodarze — na piętrze my — zeszli do piwnicy, miejsca które uznano za najbezpieczniejsze. Zaczęła się cisza i denerwujące oczekiwanie na to co miało nastąpić. Pamiętam, że nie mogłem sobie wyobrazić jak będzie wyglądał ten moment, gdy front będzie się przesuwał przez nasz dom. A przecież wszyscy dorosli o tym przesuwaniu mówili. No i w końcu się stało, pojawił się pierwszy patrol radziecki, mnie nie pozwolono wyjść, ale starsi, mój Ojciec, wyszli, częstowano zmęczonych żołnierzy wodą o którą prosili, papierosami. Żołnierze pytali — gdzie są Niemcy, czy odeszli — zachwyceni byli, że tu są ludzie, że ich radośnie witają, że w okolicy nie ma zniszczeń. Niektórzy mieli mongolskie rysy, byli bardzo młodzi, tak młodzi, że Ojciec jednego z nich spytał, czy nie jest ochotnikiem, w odpowiedzi śmiech — „kakoj ja dobrowolec u nas pogołownaja mobilizacja”. Następnego dnia zjawili się u nas dwaj moi starsi bracia cioteczni, którzy byli żołnierzami w brygadzie „Szczerbca” w kompanii „Brzozy”. Okazało się, że wykonując jakieś inne zadanie nie uczestniczyli w owej nieszczęsnej akcji forsowania toru kolejowego. Ponieważ kompania „Brzozy” kwatrowała stosunkowo niedaleko od naszego domu tak więc i moi kuzyni i niektórzy ich koledzy (d-ca drużyny „Bil”, „Delfin”), przychodzili do nas, a Mama jak umiała starała się z bardzo skromnych domowych zapasów coś przygotować im do jedzenia. Nie pamiętam dokładnie, ale chyba kilka dni później (już po wyzwoleniu Wilna), kufer i walizki zapakowane w ogrodzie zostały wydobyte, a ja z bratem w dniu owego dołu umieściliśmy zakorkowaną i zalakowaną butelkę do której włożyliśmy opis owej bitwy w której poległo tylu partyzantów-akowców. Kto wie, może ta butelka leży tam w ziemi do dziś dnia.

Po jakimś czasie brygada „Szczerbca” odeszła dalej, a jeszcze później doszła nas hiobowa wieść, że ich wszystkich, z tej i innych wileńskich brygad otoczono, uwięziono i wywieziono. Wielu udało się uciec, wśród tych szczęśliwych byli również dwaj moi bracia cioteczni. Któregoś dnia w Kolonii Wileńskiej spotkałem „Delfina”, który mnie poznał i rozmawiając, siedł jakiś czas ze mną, do dziś nie wiem, czy z sympatii dla malca jakim byłem, czy by łatwiej uchodzić za kogoś miejscowego, bo przecież mijaliśmy i wojskowych radzieckich... Następnym miesiącu nie jestem dziś w stanie wypełnić opisem jakichś wyraźnie zapamiętanych zdarzeń. Jakieś zabawy z rówieśnikami ze znalezioną amunicją, pociskami do granatników, armatnikami,... Straszliwy wybuch który wstrząsnął Wilnem i okolicą, gdy na dworcu kolejowym nastąpił wybuch pociągu z amunicją. Pamiętam potężny grzyb dymu po tej eksplozji oglądany z perspektywy Kolonii Wileńskiej — wtedy to jeszcze nie wywoływało takich skojarzeń, jakie miałbym dzisiaj.

Dopiero może 1 stycznia 1945 r., a najpewniej w noc sylwestrową ...

najpierw rozległo się gwałtowne walenie do drzwi domu na parterze, wszyscy się obudzili i tak jakoś nie było wątpliwości kto to przyszedł. Mimo to, gdy po jakimś czasie załomotano i do naszych drzwi Mama zadała w gruncie rzeczy absurdalnie brzmiące pytanie — kto tam? — w odpowiedzi padło zza drzwi — otwieraj, my NKWD, my rosyjska TAJNA POLICJA! Wiem, że dziś brzmi to troszkę szokująco, ale tak sobie myślę, że ta odpowiedź, w zamierzeniu „pukających”, miała mieć charakter informacyjny, sądzili zapewne, że ktoś może nie wiedzieć co



to takiego NKWD. No cóż, była rewizja dość szczegółowa. choć trudno powiedzieć czego konkretnie szukano. Zabrali tylko mapy — wyrwane z jakiegoś niemieckiego tygodnika z czasów, gdy ci jeszcze się chwalili swymi sukcesami na froncie. Zabrano jeszcze mojego Ojca, gospodarza i jego syna Sławka (czyli wszystkich mężczyzn z domu). Syn gospodarza

wkrótce wrócił, wypuszczony za cenę zegarka, w który go wyposażyła przewidująca matka. W kilka dni później zjawił się u nas mój brat cioteczny. Ponieważ się ukrywał, ciotka moja doszła do wniosku, że teraz jak Ojciec został zabrany, to gdzie jak gdzie, ale u nas w domu będzie najbezpieczniej. No cóż, rozumowała logicznie, nie uwzględniła tylko tego, że ci co zabrali Ojca przyszedli z Nowej Wilejki, a następnej nocy po zjawieniu się mego kuzyna znów przyszedli — tym razem z Wilna. Mogło się to skończyć bardzo źle, ewidentnie ukrywający się młody człowiek — znaleźli go schowanego na małym stryszku pod dachem — bez dokumentów... Ale skończyło się wszystko szczęśliwie, ceną wolności była odpowiednia ilość wódki. Jeszcze kilka razy przychodził później do nas lejtnant Jewsiejew, dopominając się o kolejne butelki wódki. A tymczasem Ojciec siedział w więzieniu w Nowej Wilejce. Trzymany był z innymi w piwnicy bez światła, leżeli wszyscy bezpośrednio na kamiennej posadzce, w zimnie (początek stycznia), w zasadzie bez jedzenia. W zasadzie, bo jednak pozwolono, by bliscy coś tam podawali. Zachował się gryps od Ojca, w którym 8 I 45 r. pisał do Matki m.in.: „W takich warunkach ja długo nie pociągnę. Zamów na moją intencję mszę świętą do św. Judy Tadeusza. Módlcie się stale za mnie.”

W ciągu dwóch tygodni Ojciec był chyba tylko raz na przesłuchaniu, w którym próbowano „wyjaśnić” (ale bicia nie było) fakt, że jak wynikało z jego starej książeczki wojskowej, był ochotnikiem w wojnie 20 r. Ale w gruncie rzeczy nie o to chodziło, chodziło im o młodych, silnych, zdrowych, a Ojciec tych warunków nie spełniał, był chory na gruźlicę i miał wyrobione radzieckie inwalidztwo. Gdy po dwóch zaledwie tygodniach spędzonych w ciemnościach został wypuszczony i wyszedł na światło dzienne, kompletnie nic nie widział i nie spostrzegł mojej Mamy, stojącej przed więzieniem; ta zaś go nie poznała, brudnego, zarośniętego, wynędzniałego.

Teraz to już zaczęły się energiczne przygotowania do wyjazdu do Wilna. Ojciec załatwiał niezbędne formalności, Mama pakowała rzeczy. Zabrać można było niewiele, bardzo niewiele (nie wolno było na przykład wywozić mebli, z wyjątkiem jednego łóżka), a rodzice postanowili, że w mieszkaniu nic nie powinno zostać. To czego nie udało się sprzedać (a z tym było trudno, bo podaż była ogromna), lub rozdać, trzeba było spalić. Z bratem całymi dniami paliliśmy w piecach — meblami i co tam tylko dawało się spalić. Przez całą wojnę w mieszkaniu nie było tak ciepło jak wtedy — w końcu piec nie wytrzymał i pękł.

Wyjechaliśmy z Wilna transportem nr 8 dnia 13 marca 1945 r. W „naszym” wagonie towarowym jechało kilkanaście osób z kilku rodzin, no i rzeczy. Była jeszcze zima, od drzwi ścian i podłogi wiało, a od piecyka „kozy” — który „zorganizował” ktoś z współjadących buchał zar. Do Grodna pociąg jechał szybko, później nieco wolniej do Białegostoku, aż wreszcie na przystanku Gregorowce (za Bielskiem Podlaskim), radziecki transport wojskowy (przecież była jeszcze wojna) zarekwirował nam lokomotywę i staliśmy tam w szczerym polu cały tydzień... Było zimno,

brakowało opału, jedzenia, nikt przecież nie przewidywał, że podróż będzie taka długa. Mój malutki braciszek, nie mający jeszcze roku, ciężko wtedy zachorował, by już nie wyzdrowieć i rok później umrzeć. Po trzy-nastu dniach dojechaliliśmy do Lublina. I pierwszy adres w Polsce „lubelskiej”: Lublin, ul. Fabryczna 71, Barak 8, Sala II. Tak, tak, obóz dla takich jak my mieścił się w barakach Majdanka.



Konieczne jest tu uściślenie terminologiczne — nazywa się dzisiaj takich jak ja i moja rodzina repatriantami — „repatrianci zza Bugu”. To nie jest ściśle, repatriant to „osoba wracająca do kraju po długim pobycie za granicą”. Mnie to nie może dotyczyć, nigdy z ojczyzny nie wyjeżdżałem, tak więc nie mogłem do niej wracać.

Wtedy w początkach 1945 r. nikt zresztą nazwy repatriant nie używał. Mam przed sobą dokumenty: indywidualne, wystawione dla poszczególnych osób „Zaświadczenie dla ewakuacji do Polski”, wystawione 12 marca i ważne do 12 kwietnia 1945 r., oraz zbiorowa dla całej rodziny „Karta Ewakuacyjna” (z 7 lutego 1945 r.). Wszystkie te dokumenty wystawione zostały przez „Rejonowego Pełnomocnika PKWN do spraw ewakuacji”. Tak więc w zgodzie z terminologiczną ścisłością, jak i oficjalnymi dokumentami — nie była to repatriacja lecz e w a k u a c j a.



W jednej tylko sprawie do dziś nie mam jasności. To prawda, że będąc Polakiem i mieszkając w Polsce, żyję w Ojczyźnie. Czym jednak jest dla mnie ziemia, gdzie się urodziłem, gdzie urodzili się mój Ojciec, mój dziad i pradiadowie, gdzie na Rossie pozostały groby rodzinne? Czy i dziś tam jeszcze jest moja ojczyzna?

Jan Trynkowski

CZŁOWIEK NA POGRANICZU KULTUR

Tożsamość człowieka w Europie — człowieka jako członka jednego z europejskich narodów — wiąże się od wieków ze zdolnością uświadomienia sobie wielokierunkowego przepływu wartości, z wielu źródeł i wieloma drogami. Takie otwarcie na wzajemną wymianę, pluralistyczna wizja kultury jako wyrazu zbiorowego istnienia, stanowią podstawowe elementy naszej wspólnej samowiedzy. Ale samowiedzy tej towarzyszy też dramat: spory o rozumienie dziedzictwa i wynikające z nich konflikty międzykulturowe, międzygrupowe, a wreszcie sensu stricto międzynarodowe. Tak więc istotą tej europejskiej całości, o jakiej tutaj mowa, okazuje się jej nieustanne zagrożenie i mobilizacja różnorodnych sił ku obronie i ocaleniu.

Jedność w wielości jako ideał oznacza więc zmaganie się z granicami. W tym naszym domu na każdym kroku napotykamy granice i przeto być Europejczykiem znaczy również: umieć (i móc) przekraczać progi. Umieć i móc witać w progach, być człowiekiem na pograniczu kultur — w żywiole spotkania, przemiany, walki. Rzecz w tym, by tym spotkaniom towarzyszyła dobra wola. Dobra wola czyli poszanowanie godności drugiego człowieka, grupy społecznej, narodu. Wtedy dopiero można by mówić nie tyle o granicach jako liniach podziału, ile raczej o pograniczach jako obszarach wzajemnego przenikania, polach zarazem lęku i nadziei.

Gdy myślę tutaj o pograniczach wewnątrz Europy, to środowiskiem tego myślenia jest kultura jako wyraz człowieka — taka więc, wobec której człowiek pozostaje podmiotem, wartością samoistną, nie redukowaną do ideologii czy polityki.

Ale przecież człowiek wobec kultury nie jest nigdy sam: są również inni. Świat ludzki jawi się jako przestrzeń o wielu centrach promieniujących wartościami, gdy każda osoba zapoczątkowuje całość o wielu wymiarach i kierunkach odniesień, oddziaływania. Jest to jednak wizja sytuacji idealnej. Tak naprawdę każdy z nas uczestniczy w dramacie istnienia między byciem u siebie i wobec „swoich”, którzy traktują go nieinstrumentalnie jako cel, a byciem wśród „obcych” traktujących go jako środek i wręcz narzędzie do swoich celów nie liczących się z cudzą godnością. Są więc także granice między człowiekiem a człowiekiem, na nich także — jak mówią ludowe opowieści — czyha diabeł (nienawiść, pycha, pogarda). Rzecz w tym, by i te międzyludzkie granice stawały się wezwaniem do wzajemnego przenikania się i wymiany wartości, by były otwarte i nie budziły lęku.

I tak, czy to w odniesieniu do osób czy do grup społecznych (narodów), zamykanie się granic upośledza godność istnienia. Tym bardziej wykroczeniem przeciw godności jest uzurpatorskie i nie liczące się z drugim naruszenie cudzych granic przemocą. Nie tylko o granice polityczne tu chodzi, również o granice stanowiące o tożsamości duchowej. Przejawia-

nie woli wymiany ponad granicami z ich poszanowaniem — oto wizja płodna dla przyszłości kultur.

Te dwie, tak krańcowo różne postawy, mają w historii Europy niezliczone przykłady w sferze faktów. Powiedzmy chociażby o dwóch: z jednej strony szczęśliwie zrealizowana misja świętych braci Cyryla i Metodego (którzy pozwolili Słowianom być „u siebie” wraz z ich kulturą i językiem, z ich swoście ukształtowaną tożsamością), z drugiej strony tragiczny los Prusów, misyjnie „nawracanych” ogniem i mieczem. W przypadku Prusów zaiste trudno by mówić o „pograniczu” — bowiem potraktowano ich jako peryferie Europy tak dalece, że stoczyli się poza jej obszar w niebyt i prawie w niepamięć.

Gdy myślimy o kulturze jako wyrazie człowieka i jego wspólnoty historycznej, to Europa jawi się jako Europa ojczyzn. A były i są ojczyzny, których etos wyrastał w toku dziejów jako wyraz spotkania wielu kultur etnicznych i narodowych, wielu religii i rodzimych tradycji. Jedną z takich ojczyzn była Rzeczpospolita Obojga Narodów. I jedną z takich ojczyzn była współtworząca ją Litwa historyczna, przybrawszy postać polityczną Wielkiego Księstwa Litewskiego.

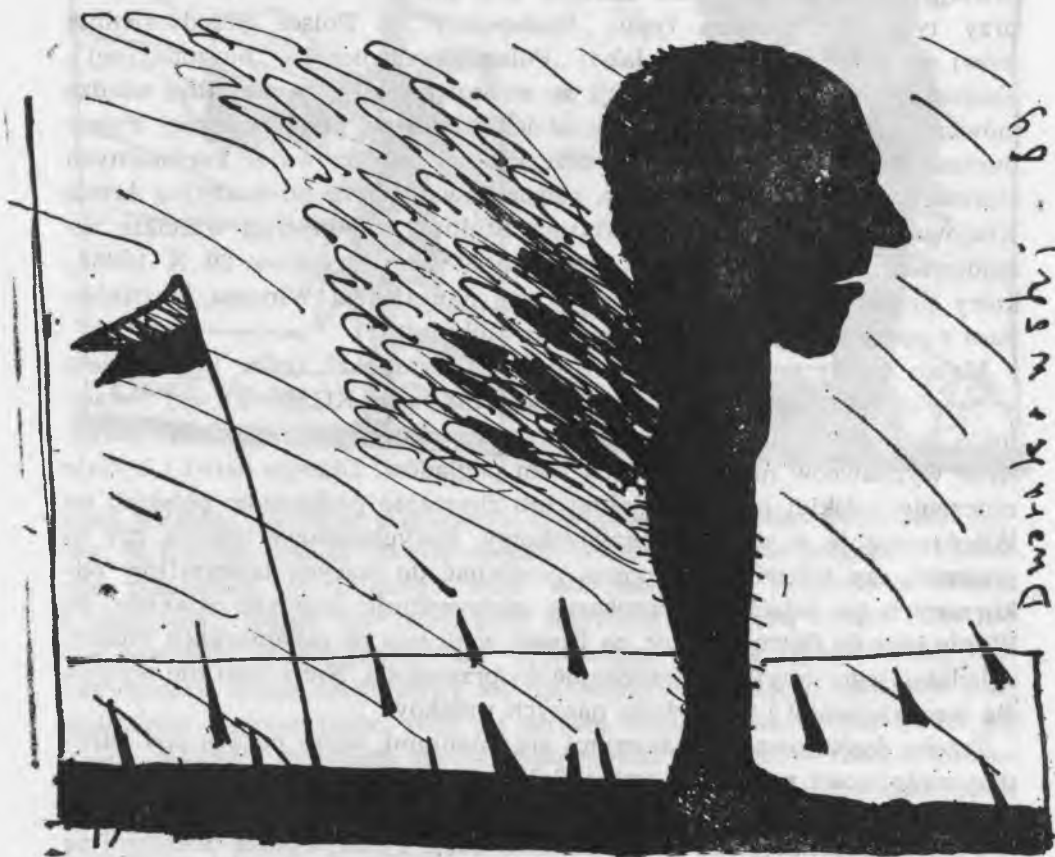
Jeżeli kulturę zdefiniujemy jako „dom” będący wyrazem człowieka w dziedzinie wartości szczególnie w trzech aspektach — twórczości, pamięci, współistnienia — to taka wizja kultury jest w istocie wyrazem człowieka będącego wartością „dla”, gotowego do wymiany darów.

Przyszłością Polski i Litwy powinna być gotowość do poszanowania faktycznego dziedzictwa, a jest nim historyczne współistnienie narodowych tradycji we wspólnie wybranej — nienarzuconej przez nikogo przymocą — ojczyźnie. Chodzi więc o to, by oddać sprawiedliwość polskim tradycjom Litwy. By zadość się stało prawdzie, że najplodniejsza w dziejach jest „unitas in varietatem”.

Elżbieta Feliksiak

NASI ZA WSCHODNIĄ GRANICĄ

Do tej pory, to znaczy do czasów gorbaczowowskiej przebudowy w ZSRR, nie było w zwyczaju publiczne mówienie o rodakach za granicą na wschód od Bugu. Czasem pojawiały się sformułowania o Polonii, jak gdyby w tej części świata mogła istnieć Polonia w zwyczajowym rozumieniu. Tam — z wyjątkiem wywiezionych w różnych falach deportacji — żyli przede wszystkim „tutejsi”, Polacy urodzeni poza obecnymi gra-



nicami PRL. O nich oficjalnie zapomniano, rząd nasz nie upomniał się o 1,5 milionową mniejszość polską zaniedbaną, a przez to asymilującą się, rusyfikowaną, białoruszczyzną lub ukrainizowaną czy też litewszoną. Tylko na Litwie Polacy — w liczbie do 300 tysięcy — mieli i mają w miarę przyzwoite warunki jako mniejszość. Półmilionowa grupa polska na Białorusi nie istniała dotąd formalnie na żadnym polu, choć w Mińsku był i jest konsulat. Nie było tam prasy mniejszościowej polskiej, (i nie ma) stowarzyszeń, szkół, zespołów, do dowodów osobistych często wpi-sywano za zgodą lub bez: Białorusin, Rosjanin, Ukrainiec. Nieco na południe, na Ukrainie sytuacja była podobna z takimi oto wyjątkami, że

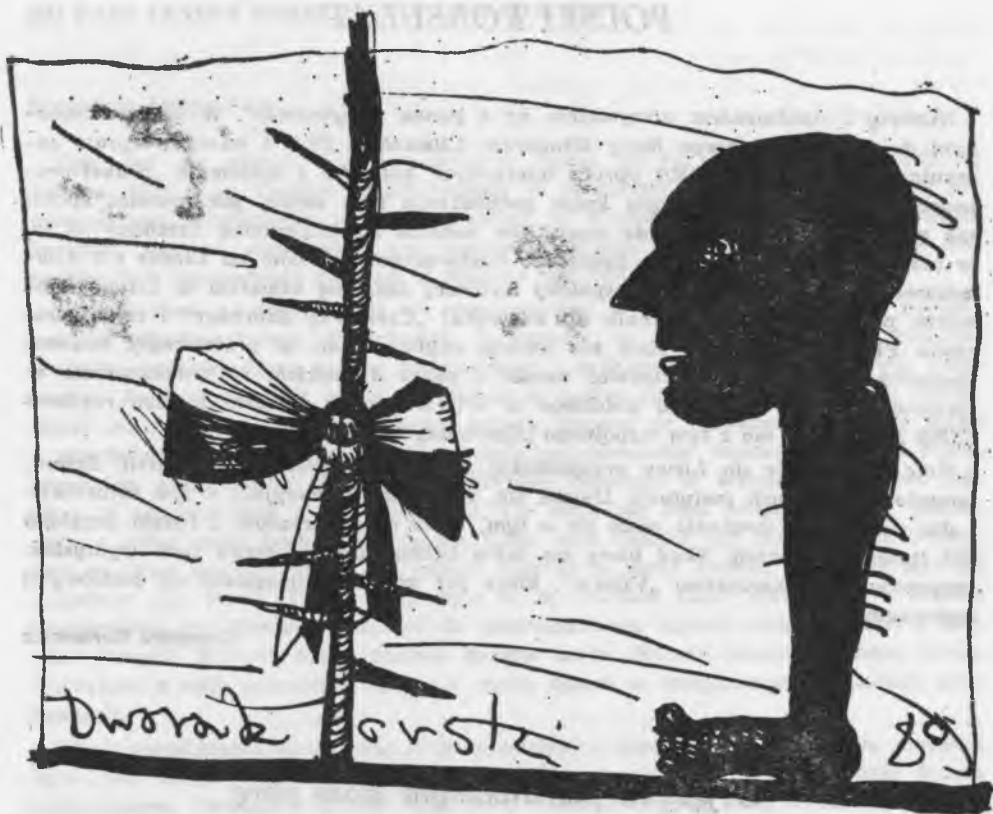
we Lwowie istniały dwie szkoły polskie i teatr ludowy, nauczycielski (na ponad 300 tysięcy osób). Ostatnio dopiero na Ukrainie i Białorusi powstają stowarzyszenia, we Lwowie — konsulat, kilka szkół, przy dużych oporach ze strony miejscowych władz państwowych.

Mimo, że oznaki budzącego się polskiego życia są ciągle jeszcze pierwsnkowe, by tak rzec, mimo iż Polacy domagają się swoich praw w myśl obowiązującej konstytucji radzieckiej, nie brak głosów przeciwstawiających się nawet temu. Bardzo charakterystyczne w tym względzie jest kampania w środkach masowego przekazu LSRR, gdzie ciągle pojawiają się niesympatyczne akcenty pod adresem Polaków. Używa się przy tym sformułowań typu: „Białopolacy”, o Polsce przedwojennej mówi się przede wszystkim jako: „Polsce obszarniczej”, „burżuazyjnej”, obraża się nawet — bez reakcji ze strony polskiej — aktualną władzę mówiąc: „Polska Ludowa, która odziedziczyła po przedwojennej Polsce burżuazyjnej roszczenia do Wileńszczyzny...” lub używając kuriozalnych sformułowań typu: „Mieszkańcy, steroryzowani przez burżuazyjną Armię Krajową i wszechmocnego dyktatora Stalina, wykonywali wszelkie zarządzenia rządu” (cytaty za „Czerwonym Sztandarem” z 20 X 1988r., który przedrukował artykuł litewskiego nauczyciela Wincasa Martinke-nasa z prasy pedagogicznej „Tarybinis Mokytojas”).

Mając do dyspozycji tylko „Czerwony Sztandar” (nota bene gazetę w języku polskim, ale nie polską; jest to organ KC KP Litwy) Polacy mają nieduże szanse polemizować z różnorakimi „argumentami” skrajnych wyznawców nieprzyjaznych nam poglądów. Dlatego dziwi i irytuje milczenie polskiej prasy oficjalnej lub zbywanie problemów polskich na Wileńszczyźnie w sposób ciekawostkowy. Dotychczasowe relacje, czy to prasowe, czy telewizyjne, można porównać do starych landszaftów odkurzanych po latach. Dziennikarze pielgrzymują utartym szlakiem po Wilnie idąc do Ostrej Bramy, na Rossę, wędrując po zakamarkach miasta, oglądając jego zabytki i wdychając do przeszłości. Nic z tego nie wynika dla terażniejszości i przyszłości naszych rodaków.

Trzeba dyskutować z bzdurnymi argumentami, które padają pod adresem mniejszości polskiej i samej Polski, trzeba doprowadzić — wzorem komitetu podręcznikowego między nami a Niemcami Zachodnimi — do rewizji podręczników do nauki historii, gdzie Polak, Polska obciążeni są jakąś niezbyt przyjemną i nieuzasadnioną skazą.

Powstały niedawno na Litwie Ruch na Rzecz Przebudowy (Sajudis) jest niewątpliwie postępowy w swych działaniach i pomysłach. Jak zawsze jednak do wszelkiej działalności masowej przyczepia się różnego rodzaju skrajny element wykorzystujący ochronę mas, potęgę członków i w ten sposób atakujący — w tym wypadku — polską kulturę. Wysuwane są argumenty pod adresem naszych rodaków, iż to tylko zbląkane nieszczęśliwe owieczki litewskie, które dały się spolonizować i trzeba im pomóc wrócić do stada. Żeby im to ułatwić trzeba np. zamknąć polskie szkoły. Było ich około 260, dziś jest tylko 88 chociaż liczba ludności polskiej wzrosła. Stawia się bariery w sprawie odbierania w Wilnie tele-



wizji polskiej używając argumentu, iż doprowadzi to do... polonizacji Litwy. W Kownie jednak Litwini chętnie odbierają polskie programy i jakoś nie polonizują się. Dlaczego więc zabraniać tego Polakom w Wilnie i okolicach? Wszak my odbieramy telewizję radziecką i nikt o to nie ma pretensji. Wręcz przeciwnie — poszerza to nasz ogląd świata, rzeczywistości. Mimo, iż pojawiły się np. rozsądne rezolucje Litwinów pracowników Uniwersytetu, żeby tę sprawę sfinalizować — nie widać jej końca. Również przeciąga się — zablokowana ostatnio — rzecz z konsulem generalnym w Wilnie. Litwini domagają się swoich przedstawicieli w ambasadzie radzieckiej w Warszawie. To chyba jest możliwe do zrealizowania i należy to uczynić.

Eugeniusz Kurzawa

POLSKI KONSULAT

Niestety z opóźnieniem otrzymałem nr 4 pisma „Atgimimas”. W liście zwróconym do przewodniczącego Rady Ministrów Litewskiej SRR i ministra spraw zagranicznych Litewskiej SRR oprócz wierutnych kłamstw i dosłownie „grauel-propagandy” (w najlepszym stylu kraju pochodzenia tego słowa, jak również epoki) nie można nic znaleźć. Przede wszystkim oskarża się „Czerwony Sztandar” o to, że razem ze Stowarzyszeniem Społeczno-Kulturalnym Polaków na Litwie i z działaczami rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej żąda się otwarcia w Litwie konsulatu polskiego. Co ma piernik do wiatraka! „Czerwony Sztandar” i członkowie rządu PRL. Autorzy tego listu nie umieją chyba czytać, w przeciwnym bowiem wypadku mogliby się dowiedzieć nawet z gazet litewskich, że porozumienie w sprawie założenia konsulatu polskiego w Wilnie zostało zawarte między rządami ZSRR i PRL. Cóż ma z tym wspólnego „Czerwony Sztandar”?

Kole w oczy, że do Litwy przyjeżdżają z Polski przedstawiciele partii, Sejmu, konsulatów i innych instytucji. Uważa się, że prasa tendencyjnie o tym informuje. I dla wzmocnienia wrażenia pisze się o tym, że w roku bieżącym z Polski przybyło 800 tysięcy obywateli. Skąd biorą się takie liczby? Do autorstwa tych wymysłów przyznaje się towarzystwo „Vilnija”, które już nie raz popisywało się podobnymi wyczynami.

Grzegorz Berłowicz

O języku państwowym słów parę

To, o czym od dłuższego czasu deliberowano na łamach prasy, a także co było tematem różnych pogłosek, wreszcie znalazło swój wyraz w pewnym akcie prawnym. Bardzo dobitnie na ten temat napisał „Czerwony Sztandar” w nr z 9 października w artykule „Kolejny krok na drodze demokracji i jawności”. Słusznie podkreślono w nim słowa z aktu prawnego o tym, aby nie naruszano praw innych narodów do posługiwania się swoim językiem ojczystym. Ale nasuwa się pytanie, czy to znajdzie posłuch w licznych środowiskach żyjących ostatnio w stanie euforii nacjonalistycznej. A wyrazem tego już teraz są wydawane w co poniektórych instytucjach zarządzenia ograniczające swobodę posługiwania się innymi językami.

Moim zdaniem nadanie językowi litewskiemu prawa języka państwowego oznacza, że każdy może się zwracać do osób urzędowych w języku litewskim i może oczekiwać odpowiedzi w tymże języku. Przytoczona teza aktu prawnego potwierdza również prawo innych do zwracania się do tych samych osób urzędowych w swoim języku ojczystym. Konkretnie biorąc w skupiskach ludności polskiej w rejonach podwileńskich chyba nikt nie odmówi Polakom prawa zwracania się do urzędu w swoim języku ojczystym. Nie powinna w tym być chyba także wyjątkiem stolica Litwy licząca około 20 proc. ludności polskiej, biorąc również pod uwagę tradycje językowe tego miasta.

Czy możemy się spodziewać, że tak będzie? Miejmy nadzieję, ale nie przywiązuje większej wagi do takich zjawisk, gdy ktoś kierując się swoją głupotą lub po prostu chamstwem nie zechce odpowiadać w danym języku. I tutaj staje wielkie zadanie, przed pracownikami naszego frontu kulturalnego, aby wychować ludzi a zwłaszcza młodzież, w duchu nie tylko umiłowania ojczyzny, ale też w duchu demokracji, a więc też tolerancji.

Grzegorz Berłowicz

DO PANI JANINY BORECKIEJ — LIST OTWARTY

Szanowna Droga Pani!

Tyle już lat minęło, kiedy widziałem Panią po raz ostatni. Spotkaliśmy się wiosną 1970 r. w Teatrze Współczesnym w Szczecinie. Razem z Panią była jej nierozłączna przyjaciółka z lat studenckich w Wilnie, prof. Maria Wyrzykowska. Spektakl się już skończył i nie mogliśmy dłużej porozmawiać. Rozdzielił nas szybko tłum wychodzący z teatru. A miałem tyle Pani do powiedzenia.

Pozwoli Pani, że zagłębię się we wspomnienia. W 1959 r. zostałem Pani pacjentem w Międzyszkolnej Przychodni Lekarskiej w Szczecinie. Byłem wówczas uczniem ostatniej klasy szkoły podstawowej i przeżywałem wszelkie udręki mego wieku. Pani wysłuchiwała mnie cierpliwie, a potem zadawała wiele pytań, chcąc lepiej mnie poznać. Podczas drugiej wizyty czułem, że rozmawiam już nie tylko z psychologiem. I tak nawiązane zostały przyjacielskie kontakty między Panią psycholog, absolwentką Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, a uczniem jednego ze szczecińskich powszechniaków. Co stało się tego przyczyną? Na pewno dały o sobie znać nostalgiczne kresowe. Choć moi rodzice nie pochodzili z Wilna, lecz ze stron nowogródzkich, to jednak była to ta sama ziemia, do której tęsknili podobnie jak Pan. Cóż zresztą była to za różnica skąd pochodzili: z Wilna, Nowogródka czy Słonima? Należeli do niezrzeszonego nigdzie związku ludzi z kresów. Samych Wilnian także znalazłem bardzo wielu. Bywali często w moim domu. Większość z nich pracowała razem z moim ojcem w miejscowych zakładach graficznych.

Długo pozostawaliśmy ze sobą w przyjacielskich kontaktach. Jako osoba samotna była Pani otoczona gronem przyjaciół w różnym wieku — w tym gronie byłem najmłodszym. Pamiętam dobrze małe Pani mieszkanie przy ulicy Królowej Korony Polskiej. Nieduży pokój zastawiony był starymi meblami, wśród nich mały okrągły stół, kozetka i solidna dębowa biblioteka. Na ścianach wisiały rodzinne fotografie i wiele widoków Wilna. Przy tym małym okrągłym stole wysłuchiwała Pani zwierzeń już ucznia szkoły średniej. Przy nim udzielała mi Pani rad, tłumaczyła zawiłości życiowe, a nieraz i karciała. Któregoś razu odwiedzwszy Panią zastałem u niej jakąś nieznaną mi wcześniej Pani znajomą, która także pochodziła z Wilna. Rozmawialiście o swoim mieście, snując długie wspomnienia. Wytworzył się wówczas w Pani mieszkaniu niepowtarzalny nastrój, któremu uległem. Wydawało mi się, że na jakiś czas zostawiwszy swoje ciało w Szczecinie duszami przenieśliśmy się nad Wilnę. Byliśmy razem przy Ostrej Bramie, na Rossie, błądziłymi wąskimi ulicami Starego Miasta, wędrowaliśmy ulicą Adama Mickiewicza na Zwierzyniec, wstępując po drodze na Łukaszki. Wilno było dla Pani wieczną tęsknotą. Ale kiedyś powiedziała mi Pani — tu w Szczecinie czuję się jak u siebie. A może już jestem u siebie? Myślę, że w ten sposób chciała Pani oddalić od siebie tęsknoty wileńskie, lecz one nieustannie Panią prześladowały.

Wraz z moją pełnoletnością nasze kontakty zaczęły się coraz bardziej rozluźniać. Była w tym moja wina i jakże jest mi teraz przykro. Kiedy szykowałem się na studia, nastąpiło to niespodziewane spotkanie w teatrze. Ale wówczas, jak napisałem na początku listu, nic nie zdołałem Pani powiedzieć o sobie.

Od pięciu lat przebywam w Białymstoku. Takich jak ja nazywają tu często „spadochroniarzami”. Nie wiadomo skąd naprawdę przybyli i w jakim celu. Pragnąłem w tym mieście odnaleźć klimat dawnych naszych Kresów. Wczuć się w niego lub nawet dać mu się całkowicie pochłonąć. Nie było to jednak takie proste, bom wychowany na zachodzie, bom Szczeciniak. Nie stanę się nigdy rasowym Kresowiakiem. Taki powinien był się urodzić nad Wilną, Niemnem czy Szczarą. A ja ciągle mam przed oczami Odrę, Wały Chrobrego, Zamek Książęcy i starą

secesyjną kamienicę w centrum miasta, w której wiele lat mieszkałem. Lecz gdy myślę o Szczecinie, to myślę zaraz o Pani, a i o Wilnie i Kresach. I te moje wspomnienia i te moje rozterki wędrują raz na zachód, to znów na wschód i tak będzie ze mną stale. Czy pozostanę w Białymstoku, skąd do Pani Wilna tak blisko?

Jakże bym pragnął, aby ten list Pani przeczytała. Nie mogłem inaczej go Pani dostarczyć. Czynień to za pośrednictwem „Dyskusji”, wileńskiej „Dyskusji”.

Ali Miśkiewicz

Wileńskie Głosy



Romuald Mieczkowski-Wilno

FURA KSIĄŻEK

To był wstrząsający widok. W obdrapanym podwórzu od ulicy Ułańskiej, dokąd dostarczyłem szafę, kiedy w czasie okupacji zarabkowałem przewozami, z rozwalonej biblioteki koszar wyrzucano właśnie setki książek. Poniewierały się one w błocie, wiatr przewracał strony, unosił strzępy wyrwanych kartek. Przenikający listopadowy chłód sprawił, że przechodniów było niewielu, od czasu do czasu stuknęły podkute buty Niemców. Podniosłem jedną książkę. Potem drugą, trzecią, czwartą... Wybierałem najładniejsze tomy, przeglądałem krótko i składałem do wozu, po chwili ładowałem je jak leci, bez spoglądania nawet na tytuły. Znieruchomiałem parokrotnie, kiedy doleciała mnie obca mowa, ale nikt nie zwracał uwagi na wychudłego i marnie ubranego młodzieńca. Książki przykryłem brudną płachtą i ruszyłem w stronę rogatek miejskich.

O zmierzchu szczęśliwie dowlokłem się do domu. Zatrzymałem konia koło obory, dosypałem obroku i zadowolony z siebie odrzuciłem płachtę — nikt u nas nie widział tylu książek. Kiedy zobaczył je ojciec, krótko wysłuchiwał moich wyjaśnień, potem bez słowa zawrócił konia i wysypał książki za szopą. Długo nie mógł rozniecić ogniska, a gdy zapłonęło, długo ogień nie mógł strawić wilgotnych tomów.

Ściemniło się. Ojciec dorzucał wciąż do ogniska chrustu i drwa, a potem pilnował, żeby wszystko dopaliło się do końca. Łzy kręciły mi się w oku, serce kołatało mocno. Pod kapotą miałem schowaną maleńką książeczkę. Jej tytuł odczytałem dopiero nazajutrz — był to „Latarnik” Henryka Sienkiewicza.

październik 87

KAMIEŃ MASŁEM SZLIFOWANY

W prawie pustej stodole unosił się zapach słomy i siana, kiedyśmy otrząsając się zlazili po drabinie z posłania w górze na „wyszkach” i niepewnie stawiali bose nogi na zimny tok, jak nazywano u nas klepisko. Zresztą wtedy nie mówiło się stodoła, tylko gumno. Chłód mieszał się

z obawą, czy aby rodzice nie zamknęli nas w tym właśnie mrocznym gumnie, gdzie przez szczeliny w deskach i otworkach po sęczkach przenikały skąpe strumienie światła, które wyostrzały się w kłębach kurzu. Ale kiedy pchnęliśmy ogromne i ciężkie wrota, przez które można było wjechać furą z końmi, podpórka z tamtej strony w postaci polana odskakiwała i wrota z głośnym skrzypem się rozwierały. Światło niczym woda w przerwanej tamie zalewało gumno i jego skromnie napełniane od lat pomieszczenia — odkąd rodzice oddali do kolchozu kilka hektarów piaszczystej ziemi, konia z uprzężą i kary, jak znowuż na Wileńszczyźnie nazywano wóz. Na dworze słońce już spoglądało z wysoka i trzeba było chwilę odczekać, aby przyzwyczać oczy do patrzenia. Po chwili pędziliśmy ile tchu do domu, trując miękkozłote główki mlecza i rozpędzając kury, które przeraźliwie się darły.

W kuchni krzątała się matka. Niechętnie i małą ilością deszczowej wody, którą czerpaliśmy z metalowego pojemnika przy ganku, dokonywaliśmy porannej toalety. Apetyt nie był jeszcze rozbudzony na tyle, aby szybko zjeść jajecznicę i do końca wypić kubek mleka. Tymczasem za oknem sąsiedzkie dzieci dawały znaki, przywołując na podwórze. W sieni matka wciskała kromki chleba z masłem — i tak wkraczaliśmy w długi i pełen niespodzianek dzień.

Zaczynał się on od siedzenia na dużym płaskim kamieniu, na którym dojadaliśmy kanapki, dzieląc się nimi ze starym i prawie ślepy młoczurkiem i starannie wygładzając posmarowaną stronę rysy na kamieniu. Ale połyskująca gładź była nietrwała: pod wpływem słońca momentalnie przekształcała się w tłuste plamy — i choć dużo masła poszło na szlifowanie, powierzchnia kamienia pozostawała nadal szorstka. W pewnej chwili zostawialiśmy głaz i goniliśmy przed siebie. Nietrudno nas było odnaleźć w ogrodzie lub sadzie, bo w słońcu jasne czupryny chłopców wydawały się jeszcze bielsze.

Dziś nie ma ogrodu i sadu, nie mówiąc już o stodole czy domu. Pozostał tylko kamień, który jest coraz gładszy, bo jako schodek na chodniku, prowadzącym do kilkunastu wieżowców jest wygładzany tysiącami butów.

październik 87

SEN O WARSZAWIE

Z jaką uporczywą stałością powraca do mnie ten sen! Oto znowu jestem w bliskiej sercu Warszawie: najczęściej na dworcu, najczęściej przejazdem. Czasu mam bardzo niewiele, czuję jednakże palącą potrzebę zadzwonienia chociażby do przyjaciół — lecz albo nie mam odpowiednich monet, albo wszystkie telefony nie działają... Tymczasem pociąg rusza, gonię go — choć nogi są jak z waty, usiłuję wskoczyć na stopnie ostatniego wagonu — byle tylko nie trafić pod koła, byle nie pod koła! — przeżywam, zmuszając wreszcie siebie do skoku — i tym razem się powiodło — jadę. Warszawa pozostaje w tyle, aż znika...

Niekiedy mam więcej czasu, parę godzin. Wtedy podejmuję decyzję odwiedzenia kogoś, czy też spaceru po Starówce lub na przykład w Łazienkach. Ach, Łazienki, Łazienki! Jakże zapragnąłem nagle tam być! Bezszykownie jednak poszukuję taksówki, autobus ucieka sprzed nosa, następny wiezie mnie bardzo daleko i wysiadam dopiero w jakimś bezludnym, pustynnym miejscu, skąd pieszo brnę do miasta, które zarysowuje się znajomą zabudową w oddali. Kiedy z nieopisanym trudem tu docieram, z przerażeniem stwierdzam, że czasu już wcale nie ma, że muszę jak najrychlej wracać. Znowu na dworzec? A może na lotnisko? Przygniata świadomość, iż ktoś, kogo nie jestem w stanie określić, na mnie czeka, że nie miałem zezwolenia na oddalanie się — biegnę więc ostatkiem sił, rozpaczliwie się wyplątując z krętego labiryntu zaułków. Wracam jak złodziej, zrezygnowany i zdyszany, pełen obaw, czy towarzysze podróży (kim właściwie oni są?) nie zauważyli mojego zniknięcia.

Boże, czy jesteś Warszawo rzeczywiście tak daleko, że stajesz się nieosiągalna? Czyżby moje, zawsze krótkie pobyty u Ciebie były zaledwie snem złudnym, który powraca tylko po to, ażeby mnie nęcić Twym eterycznym urokiem, potęgować i tak nie znającą granic tęsknotę? Proszę Cię, kiedy znów we śnie odwiedzę Twoje ulotne posiadłości, bądź dla mnie łaskawsza, nie daj mi się zagubić i pozwól pozostać dłużej w czułych objęciach Twych ulic.

Znacznie dłużej niż trwa sen.

82

O świcie

O świcie płowieją latarnie
i przepadają tajemnice —
mgła poranna wtedy
odsłania swe mleczne żagle
i wszystkie kwiaty świata
o kroplę rosy prawdziwsze
są nagle

73

W podwórzu u Mickiewicza

Nie wróci tu nigdy poeta
co z miastem cierpiał
i na obczyźnie je sławił
klamka zapadła —
w jego domu martwa cisza
Zaułek Bernardyński
prowadzi do nikąd —
po niedawnym pożarze
świąd jeszcze pozostał

w zwęglonym wapnie gasną
filomackich westchnień
coraz cichsze uniesienia

I nie zawzięta Grażyna
hardym wzrokiem raptem
przechodnia zatrzyma —
a szpetna stara kobieta
w poszczerbionej bramie
próbuję za pół darmo
polne kwiaty sprzedać

maj 87

Ścieżką na Trzykrzyską Górę

Korzenie jak jaszczurki
w popłochu pryskają
spod nóg naszych —
promienie słońca
korony drzew stuletnich
wiercą —
na mostach rąk
na których gości cisza
gasną —

Raptem ścieżka do nieba
się wprasza
lecz na urwiska piaskach
Trzech Krzyży
dawno znikły cienie —

Spoczęły one na dnie
wartkiej Wilenki

lipiec 87



Przygarniesz do siebie
Tatarów i Greków
gościnna jesteś dla wszystkich
Ojczyzno moja —
Czemu więc nie potrafisz
ustrzec swoich dzieci
co rozproszone po świecie
tęsknią po Tobie

29 lipca 87

Romuald Mieczkowski



MINIMA

Staraj się rozwijać swą osobowość. Jeśli nie masz skłonności perwersyjnych.

Naucz się cieszyć razem z innymi. Ze swych niepowodzeń.

Nie mów źle o innych, bo ludzie dobrze wychowani nie powtarzają banalnych oczywistości.

Bądź porządnym człowiekiem. W ten sposób osiągniesz chociażby to, że złośliwość twych znajomych będzie zrozumiała.

Zbytняя mądrość przeszkadza cieszyć się przyjemnościami płynącymi z popełniania głupstw.

Nie ma w polityce takiej zbrodni, której następne pokolenia nie przekształciłyby we „wzorec godny naśladowania”.

W odczuciu powszechnym prawda jest ladaczną: wszyscy przecież twierdzą, że ją posiadli. Lecz pomówienia ze strony furmanów i kucharek nie ujmują czci tej wielkiej damie.

Nie tylko śmietanka pływa na górze, pleśń — też.

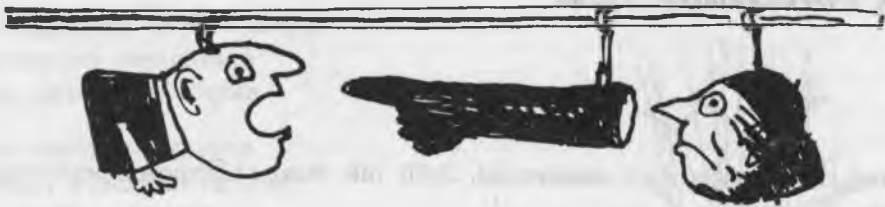


Aby coś było ci „do twarzy” lub „nie do twarzy” musisz spełnić pewien warunek wstępny: mieć własną twarz.

Książkę, jak i przyjaciela, nabywa się nieraz wedle opaakowania, lecz ostatecznie wnioskuje się o nich według treści.

Każdy życiorys pisany jest krwią. Sęk w tym, własną czy cudzą.

Spełnij psi obowiązek obywatela — myśl, jak twoi panowie!



Wszyscy żądamy sprawiedliwości. Ale takiej, która byłaby zawsze po naszej stronie.

Co prawda własne wady utrudniają zauważanie cudzych zalet, lecz za to jakże ułatwiają zauważanie przywar.

Tylko pierwszy strzał jest zbrodnią; kolejne z obu stron stanowią wymierzanie sprawiedliwości.

Nie traci głowy, kto jej nie ma.

Łgarz! — Ale jak szczerze łże!...

Najłatwiej używać prawa pięści, gdy trzyma się w niej urzędową pieczętę...

Wszyscy są dumni, nawet z tego, że nie mają z czego być dumni.

Kto mówi, że za pieniądze można wszystko kupić, daje do zrozumienia, że gotów jest za pieniądze wszystko sprzedać.

Wewnętrzne tchórzostwo i słabość człowieka przejawiają się nie tylko w tym, że popełnia on złe uczynki, lecz także w tym, że za wszelką cenę chce swe złe postępowanie usprawiedliwić „dobrymi” racjami.

Wszyscy jesteśmy tolerancyjni. Jedni w stosunku do innych, drudzy w stosunku do siebie samych.

Łatwiej gloryfikować człowieka na uroczystych akademiach, niż zagwarantować mu zwykły codzienny szacunek.

Nie świadomość musi opierać się na dyscyplinie, a na odwrót — dyscyplina na świadomości. Źle, jeśli panem staje się dyscyplina, a świadomość sługą.

Ten, kto kradnie kielbasę jest złodziejem, ten zaś, co kradnie książki — inteligentem.

Gwizdź na opinię, jeśli nie chcesz być przez nią wygwizdany.

Pamiętaj, że udając króla, będziesz musiał płacić jak król.

Wszyscy myślą wyłącznie o „sobie”. I tylko ja jeden myślę o „mnie”.

To niesprawiedliwe, wszyscy zauważają śmierć geniusza, lecz nikt — jego urodzin.

W każdym człowieku siedzi parę różnych ludzi, jak pasażerowie w pędzącym dylizansie. I wszyscy wyrrywają sobie nawzajem lejce z rąk...

Skromność rządzących polega na zasłanianiu nagich faktów figowym liściem kłamstw.

Strzeż się ulatywać nad poziomy... kolektywu.

Tyrani dziedziczą po sobie nie tylko pochlebców, lecz także tyranobójców.

Przy zmianie epok nie trzeba zmieniać haseł. Wystarczy zmienić ich kolor.

Sknera jest jak owca ze złotym runem — ma bogactwo, a korzystać zeń nie potrafi.

Na tym właśnie polega mądrość przysłów, że przeczą one sobie nawzajem.

Niech żyje! Niech żyje! — wołali. A w domyśle mieli: „krótko”!

Najzręczniej zbijają cudze przekonania ten, kto nie ma własnych.

Państwo zbudowane na lęku obywateli stale się trzęsie.

Niektórzy rozpoczynając nowe życie zapominają skończyć ze starym.

Został znokautowany. Myślał, że gdy zamknie oczy, ciosy będą go omijać.

Czyje panowanie, tego religia. Nawet gdy panują ateści.

Niestety, sztuka nie tylko potrzebuje ofiar, lecz i sama bywa ofiarą.

Nie tylko lwy łakną krwi, pchły także.

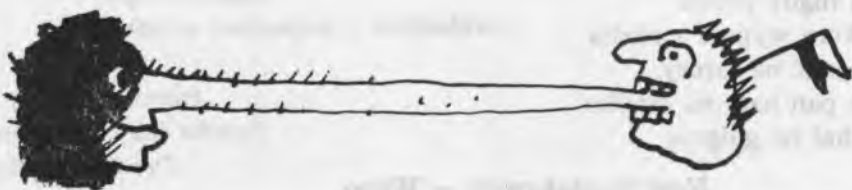
Ze względów oszczędnościowych przeciwnicy zbudowali wspólną barykadę.

Niezdecydowanie zaciskał pięści. Wyszła z tego figa.

Bogowie nie giną wraz ze swymi wyznawcami. Co to, zdrada czy pocieszenie?

Czyż nie dlatego prawda znajduje się pośrodku, że wszyscy ją od siebie odpychają?

Jan Ciechanowicz



Józef Szostakowski - Wilno



ażeby łódź zbudować
nie ruszam daleko
najlepsze będą barki
albo łódź z dwóch dłoni
dłoń twoją
w moich dłoniach
niby wielki żagiel
brzemienny śpiewem
na życzliwej gładzi

wiem też kto rzeki
zawróci na północ
aż przestraszona
stanie woda w krzyku
w obręczy mrozu
jak w hiszpańskim bucie

klękniemy razem
ale już osobno
najlepiej gdy się twarze
odwróci od jutrzni
z krainy lodów
dokąd nas zagnano
nie ma już ani drobiny powrotu.

pokora

pokora nagich drzew
biczowanych śnieżycą
pokora pustych okien
zatapianych zmierzchem
pokora twoich oczu
kiedy droga pusta
i wieczór bez wiersza
piana życia wierzchem
pokora nie obudzić
zgaszonej tęsknoty
ani dzisiaj ni jutro
ani nigdy potem
pokora wypaść z siodła
i legnąć na tarczy
tak pan nasz na osiołku
jechał na golgotę

Józef Szostakowski — Wilno



Nie mam się czym usprawiedliwić
przed taką letnią nocą —
nawet nie nakosilem jej siana,
nie zawiesilem kosy na jabłoni,
nie mam nawet okna, żeby je otworzyć
w księżycowe światło.

Nie wyhodowałem nocom
ani jednego bydłęcia —
dlatego nie ma komu w ciemności
podzwaniać łańcuchem.
Nie mam nawet
najzwyklejszego wiadra,
pełnego wody,
żeby było co na noc zapomnieć
przy studni.

Jakiż jestem niepotrzebny
takim nocom —
nie zrobiłem nawet kładki:
dlatego nie mam o czym myśleć
wsparty o poręczę
i nie mam po co westchnąć
w taką wysoką letnią noc.

Bajka królów

— A gdybym umarł,
czy bawiłbyś się ze mną?
Bawiłbyś się ze mną?

... Dawno temu żył sobie król.
Władał gwiazdami i wiatrem
i prawa ustalał
dla słońca zachodów i wschodów...

— A gdybym umarł,
czy czesałabyś mi włosy?
Czesałabyś włosy?

... Szedł sobie król drogą
i ujrzał ślady jagnięcia,
chciał je na dłoni położyć,
lecz mu się wnet rozsypały...

— A gdybym umarł,
kołysałbyś mnie do snu?
Do snu byś mnie kołysał?

... i stary zgarbiony król
płacze teraz nad śladem jagnięcia...

— A gdybym umarł...

przekł. z języka litewskiego
Alicja Rybałko → Wilno

NOTATNIK KRESOWY

1.

Kwietniowego przedwieczera, wśród nerwowego pośpiechu celników, zza ściany padającego śniegu i deszczu wychynął za oknami wagonu Niemien w mroczniejszej dolinie, ciemny i niespokojny, w oddali majaczyły mury zamku grodzieńskiego i wieże dumne kościołów, ocalale i trwające wiernie w panoramie miasta broniącego się długie lata przed zagładą. Zdawało się, że słyhać jeszcze powojenne łamanie murów kościelnych dynamitem, że dojrzeć można slaniające się od wybuchów ściany Fary Witoldowej, że czaiła się wciąż w deszczu zmieszonym ze śniegiem, jakaś potworna nienawiść, która wbijała swój nienawistny rylec w historię tego świętego miasta, w jego historię zmiażdżoną i wybebeszoną, wyczierającą zza odpadających tynków i natrętnych hasel.

To miasto wciąż trwa.

— *Już jesteście, nareszcie...*

— *Jesteśmy!*

2.

*W listopadowy poranek całe Kresy
załadowano w bydłące wagony*

(...)

*Po nim senne Polesie
pełne lasów i bagnistych borów
będących schronieniem tak dla ludzi
jak i dzikich zwierząt*

*Następnie śpiewną Białoruś
z jej malowanymi płotami
z gankami drewnianych domów*

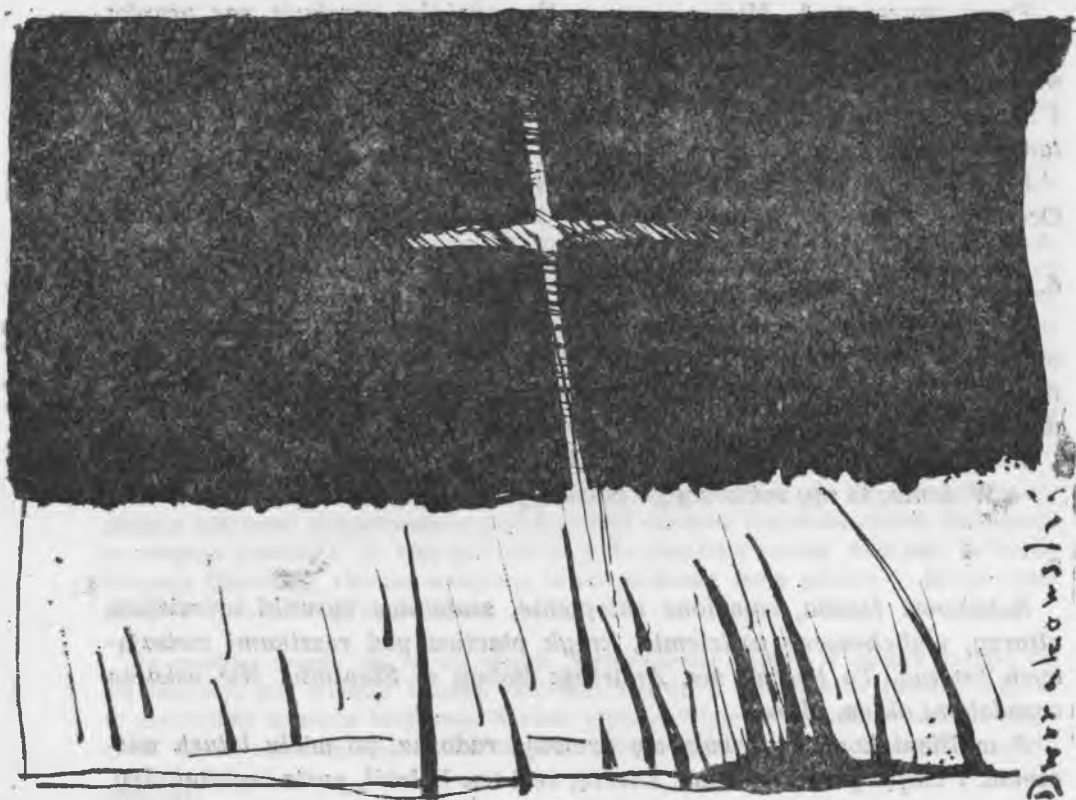
przepięknych w swej prostocie
Na końcu dumną Litwę
i Niemen szeroko rozlany
co w swych zakolach
zamykał historii całe wieki

To wszystko odjechało w nieznane
bez nadziei na powrót
bez słowa na pożegnanie

Tadeusz Zaleski-Isakowicz

3.

W Grodnie nie możemy się spotkać z Polakami zrzeszonymi w Towarzystwie im. Adama Mickiewicza. Jakaś zła moc kieruje miejscowych Polaków do sali uniwersyteckiej, a nas w przeciwnym kierunku. Po dwóch godzinach ktoś nas odnajduje. Słyszę na sali płacz i wydaje mi się, że płacze Polska, ta najwierniejsza, najbardziej doświadczona przez los. Do spotkania nie dochodzi. W kilka dni później w rosyjskojęzycznym miejscowym dzienniku „Grodzieńska Prawda” w artykule „Dni Kultury PRL w ZSRR. Pisarze z Białegostoku” napotykam zdanie „W Grodnie, w tym samym dniu odbyły się dwa literackie spotkania z członkami białoruskiego



klubu „Pochodnia” i polskiego towarzystwa imienia A. Mickiewicza (...)”
I szukać idę prawdy w opustoszałej nawie kościelnej.

4.

Na cmentarzu polskim w Lidzie. Zwalone krzyże, pootwierane trumny,
na mniejsze ołtarzowej w kaplicy odchody ludzkie...

Kiedy umierają cmentarze
umierają serca żyjących
kamienie jak lzy osuwają się na pobliskie boisko
na którym Hunowie
rozegrają ostatnią walkę

„Sława trudu” — napisano na murze
i zwalone krzyże milczą krzykiem zwycięstwa
którego barbarzyńcy nie potrafią zdławić
ściele się gęsta cisza
(...)

Na mniejsze ołtarza ustawiam trzy krzyże.
Jak na Golgocie.

5.

Przed muzeum A. Mickiewicza w Nowogródku oczekuje nas grupka
zbitych jak kuropatwy kobiecinek, z dziećmi, pewnie z wnukami trzy-
mającymi w dłoniach przywiedle od długiego wyczekiwania, tulipany.
I znowu lzy wzruszenia. I niekończące się opowieści. I dramatyczne wo-
łanie o pomoc w zachowaniu polskości.

Na cmentarzu umarłe drzewo padając objęło konarami pochówek ludzki.
Ocalał.

6.

W miasteczkach Białorusi próbuję odnaleźć stare nazwy ulic. Rynek
oznacza dumne pomniki, główne ulice jak w każdym innym mieście
noszą te same nazwy, tych samych patronów-bohaterów. Tylko starzy lu-
dzie podają nazwy przedwojennych ulic, patrząc lękliwie za siebie.

Jakby patrzyli w przyszłość, przywołaną dramatycznymi wyborami.

— W domu, to my mówimy po polsku, jeszcze my nie zapomnieli...

7.

Rokokowa fasada, zawalone sklepienie, szaletowe rysunki w miejscu
ołtarzy, wybebeszone podziemia, krzyk ptactwa pod resztkami zwisają-
cych krokwi. To kościół św. Andrzeja Boboli w Słonimiu. Nie oskarża
oczodołami okien. Milczy.

A w Bieniakoniach ozwały się dzwony, radosne, po wielu latach mil-
czenia. I stojąc przed tą ruiną, wierzę, że i ten kościół, perła architektury,
kiedyś ożyje pieśnią...

8.

W Słonimie jestem świadkiem uroczystości urodzin Lenina. Obok hotelu dzieci stoją na warcie, mnóstwo kwiatów. Wieje zimny wiatr a dzieci trwają i dygocą z zimna.

9.

Żegnam Grodno u Bernardynów. Śpiew wypełnia nawy kościelne, pełen wiary, miłości i nadziei. Na dworcu słyszę jeszcze fragmenty pieśni, przemieszane ze słowami nadziei. Patrząc przez chwilę na Niemen przepływający doliną otuloną legendą, na Niemen trwający tysiąclecia, płynący na przekór wszystkiemu z sobie tylko znaną logiką trwania.

10.

Zostawiam w tym mieście ludzi czuwających i wsłuchujących się w rytm tej ziemi: Janusza Parulisa, Danutę Biczel-Zahnietową, Józka Sadowskiego, Siergieja Olegowicza Czerniowa, Tadka Kruczkowskiego, Heńka Wasiuka i wielu, wielu innych, dzięki którym żyje jeszcze przeszłość tego miasta.

JAN LEOŃCZUK

DALEKO I BLISKO

— Pan proszę daj paszport — radziecki żołnierz zabawnie buduje polskie zdania. Pokazuje miejsca na niewielkim parkingu. Młody celnik ostrzyżony na punka klóci się z pasażerami sąsiedniego malucha. Wiozą skrzynkę koniaku. Odłożył im kilka butelek, resztę kazał odnieść do przechowalni. Udają, że nie rozumieją, liczą jeszcze raz, ile wolno przewieźć.

Jeszcze przed granicą za Sejnami wjechaliśmy do krainy jak z bajki — jeziora przelewające się między wzgórzami z uwieszonymi na zboczach lasami chroniącymi przed erozją. Teren wiecznego pogranicza. Chadzały kiedyś tędy na łupieżcze wyprawy watahy Jaéwingów, Prusinów i Litwinów. Drużyny książąt mazowieckich i ruskich brały odwet. Położyli temu kres Krzyżacy, aby rozpocząć nowy cykl wojen o wiarę. Wreszcie po kilku wiekach ustawicznych wojen sekularyzowali Zakon uznając zwierzchność polskich królów. Pierwszym elektorem, który nie umiał po polsku, był Fryderyk Wielki. Języki egzystowały wtedy obok siebie. Mieszkańcy Prus odwoływali się nieraz do królów polskich, zaś elektorowie byli protektorami protestantów polskich i litewskich.

Odnosząc nam paszporty żołnierz pokazał drogę wiodącą ku Druskiennikom — pięknie położonej miejscowości z pudeleczkami domków jednorodzinnych. Przybywał tu niegdyś Piłsudski. Za mostem tablica z dwujęzyczną nazwą. Rosyjska to transliteracja litewskiej, chociaż wszystkie te miejscowości mają polskie — bliższe Rosjanom i Białorusinom — nazwy.

Na polskiej mapie też słowa nie do wymówienia. Kiedyś w szkole kazano mi się oburzać, gdy Niemcy Gdańsk nazywali Danzig a Wrocław — Breslau. My za to mówiliśmy zupełnie bezkarnie Wiedeń zamiast Wien i Monachium zamiast München. Teraz oburzają się Litwini choćby sąsiedzi mieli sobie na ich mowie języki polamać.

Ze zmierzchem skończyła się dobra, po litewsku wyłącznie oznakowana droga: Transliteracja rosyjska wcale nie świadczy o dwujęzyczności. Skręciliśmy za tablicą pokazującą objazd i dwudziestką poczęliśmy zbliżać się ku Grodnu. Luna na horyzoncie utwierdziła nas w przekonaniu, że kierunek słuszny, ale drodze bardzo by się przydał walec.

Jest trzeci dzień świąt Bożego Narodzenia — w Związku Radzieckim normalnych dni pracy. Świątecznie w co dziesiątym może mieszkaniu migocą choinkowe lampki. Spotkana kiedyś nauczycielka z polskiej szkoły w Litewskiej Republice mówiła, że polskość tutaj też musi trwać. Uciekająca dwiema falami repatriacja trwa więc choinką w polskich mieszkaniach, antenami telewizyjnymi nastawionymi na Polskę.

Do Lidy — przed wojną powiatowego miasteczka z silnym garnizonem (stacjonował tu nawet pułk lotniczy) — polska telewizja już nie dociera. W hotelu tylko szatniarka odpowiada w naszym języku. Po polsku mówią również kobiety sprzedające warzywa i owoce, a latem kwiaty. Jest w kwaciarstwie coś z narodowego przemysłu, jego forpoczta najdalej na wschód wysunięta. Jeśli chcesz na dawnych terenach Drugiej Rzeczypospolitej kupić kwiaty — mów po polsku — wybiorą ci najładniejsze. Trzymają się także Polacy kolei i chociaż ich posady wiele straciły z przedwojennej lukratywności — przechodzą z ojca na syna a może raczej na córki.

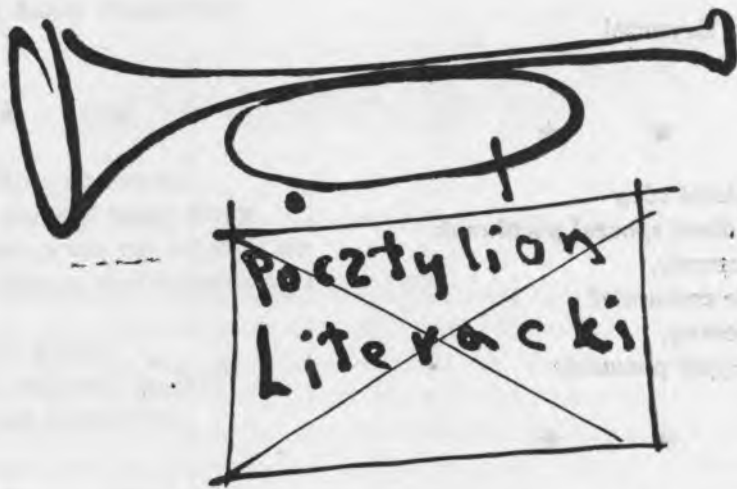
Ruiny ludzkiego zamku jakby urosły, a w miejscu, gdzie przed dziesięciu laty omal nie zostawiłem butów w błocie, stoi sklep.

Kilkanaście kilometrów dalej, gdzie za cmentarzem katolickim strzeżonym przez kapliczkę z rozwalonym dachem rozłożyło się Iwje, też lepiej. W barokowym kościółku z grobami hrabiów i kasztelanów, ostatnio odnowionym, jest ksiądz. Do strumyka docierają bloki. Kiedyś ojciec spotkał tu swojego szkolnego kolegę z Wilna — głównego księgowego w fabryce marmolady. Usiedliśmy nad strumykiem. Bloków wtedy nie było. I kolega, twierdzący, że jest Białorusinem, zaczął recytować „Switeziankę” z kresowym akcentem czterdzieści kilometrów od Nowogródka. Świeciło wtedy słońce, w górze huczał odrzutowiec, którego pilot pewnie widział tafle jeziora z tajemniczym niedostrzeżanym przez najlepsze radary wnętrzem.

Skręcamy na światłach zupełnie tutaj niepotrzebnych, przydających jedynie wielkomięskiego splendoru. Mylących nawet. Mamy pasażera, pokazuje nam drogę. Ma dużo czasu, niedawno wrócił z wojska i jeszcze urlopuje. Był w Polsce, NRD, Afganistanie. Zawieszono ich ciężarówkami lub helikopterami na odległą górską strażnicę. Nie walczyli, wartowali. Afganistan to pustynia, skalista kraina, ziemia najeżona minami. Zza każdego krzaka może paść strzał lub wylecieć rakietą. Miał młodszego kolegę z sąsiedniej miejscowości. Opiekował się nim jakby trochę. Był starym, doświadczonym żołnierzem. Po iluś tam dniach, gdy na pustkowiu nuda dokucza szczególnie, przyjaciel zaczął go namawiać, aby wyjść w nocy ze strażnicy. Tłumaczył, że nie ma po co. Zabronił w końcu. W nocy obudziły go strzały. Leżały dwa ciała. Żołnierz z wbitym w serce kindżalem i czternastoletni może afgański chłopiec z odciętą prawie przez kule głową.

I w taki też sposób historia płacze ludzkie losy i tak już tutaj popłatane.

Waldemar Fiedorowicz



Pierwsze propozycje poetyckie, które nadeszły na adres „Dyskusji” przełamały złą passę nękającą wiele redakcji — kilogramy papieru zapisanego jeno tęsknotami do bycia poetą, i niczym więcej. Pojawiły się wiersze dojrzałe, zapisane przez osoby znające warsztat literacki. To dobry znak w czasach nieżyczliwych dla poezji i poetów, których spycha się poza margines czytelniczego odbioru.

Tym razem zaprezentujemy dwie propozycje nadesłane z Hajnówki: **Malgorzaty Grynczel i Witolda Adama Rosołowskiego**. Dwie propozycje, choć różne w kształcie artystycznym to mające jednocześnie wspólną cechę — wrażliwość na otaczający świat, jego przemijanie i człowieka wpisanego w ten odwieczny dramat. Tematy wielokrotnie eksploatowane przez poetów, szczególnie młodych wiekiem, stających bezradnie przed falą dorosłości, która ich wchłonie w odmęty codziennego zabiegania i zatroskanie i każe im stać się „zwykłym zjadaczem chleba”. Stają bezradnie przed tą ciemną ścianą życia, jeszcze z czystym sumieniem nie zbrukany życiowym mezaliansem, układami, ustępstwami w imię jakiejś tam sprawy; stają przed kieratem do którego wprzęgnięcie oznacza już tylko jednostajny rytm dreptania, zanurzania się w odmęty życia, które w swoim bezprawiu poszukuje praw. I dwie propozycje nadesłane z Hajnówki wyrastają z tego niepokoju, ale nie wróżą tylko krótkotrwałego buntu ubranego w słowa — są to zapisy, które potrafią okiełznać własną słabość, a przez to — wierzę w to święcie — opanują słabość świata. I w tym zmaganiu się z żywiołem życia rodzić się będzie słowo, czyste i potrzebne. I w tym słowie czystym i potrzebnym mieścić się będzie nadzieja dla poezji i dla czytelnika.

Antoni Narewski

Małgorzata Grynczel



Jak dwa płatki róży
tak na jej dłoni spoczął pocałunek
Był zbyt szczery,
żeby go nie zrozumieć
i zbyt dziecinny,
aby go przyjąć poważnie.



Czy wiesz jak giną motyle?
One siadają na kwiatach
i jest za późno
gdy spostrzegą
że to nie płatki
tylko twoje dłonie.

Ręce

nagle spostrzegamy
że uzależniliśmy się
od słów
od tętna
od wojen

brudna ręka
grzebie w kieszeni wszechświata
szukając odpowiedzi
a tam
nic
tylko ręce



zostawiono nas obdartych ze złudzeń
zniekształconych
zdeformowanych

to nie nasza wina
że dzieci które rodzimy
potrzebują czułości

Małgorzata Grynczel



Staliśmy na brzegu
jantar podmył nasze stopy
ale żadne z nas nie schyliło się
może dlatego, że trzymaliśmy się za ręce
i
było tak blisko
a może dalej niż do fali,
która nas obmywała



deszcz nasycił strofę
teraz wystarczy ją źle przepisać
a zdolny obrazić się
zamykając wiersze
w stukocie o parapet
kto wtedy rozszyfruje choć jedno słowo?



Człowiek, który przeszedł
pomiędzy mną
a moim cieniem
podał nam ręce
Gdy powracał spytałem
dlaczego nie czuję jego dłoni



obywatel kapral zna łacinę
mógłby wykladać na podwórkach
przynajmniej dorośli
nie wpadałoby z nudy
do kosza wspomnień

przynajmniej dzieciaki
nie szczyłyby się tym
że one jedyne zasypiają nad zabawką

Witold Adam Rosołowski

Polemiki

PO PLENUM WK ZSL W BIAŁYMSTOKU

Do zabrania publicznie głosu na temat plenum WK ZSL skłoniła mnie relacja red. Józefa Makowieckiego w „Gazecie Współczesnej” pt. „Wycho-dzenie z opłotków”. Byłem obecny na plenum i bardzo uważnie wsłuchi-wałem się w głosy autentycznych działaczy ZSL. Wyrażali oni głęboką troskę o losy kultury w środowisku wiejskim. W tonacji wypowiedzi prze-ważała szczerą prawdą o sytuacji rolników i pogłębiającej się degradacji wsi białostockiej. Nawiązywano wielokrotnie do symboliki „zielonego świa-tła” dla rolnictwa, które nadal nie nabiera właściwego koloru. Sporo miej-sca zabierający głos poświęcili nadziejom, jakie wiążą ze skutkami obrad „okrągłego stołu”. Zdarzały się także głosy nietypowe i niekompetentne, zamykające się w formule narzekania i szukania winnych u sąsiadów, broń Boże u siebie. Skupię swoją uwagę, doświadczenie i myślenie właśnie na tym głosie, którego treść cytuję red. Józef Makowiecki: „Kiedy słyszę, że opieką specjalną należy otoczyć folklor i sztukę ludową — pusty śmiech mnie ogarnia, obserwując od lat postępujący regres i praktykę w tej dzie-dzinie”.

Chętnie spotkam się z autorem takiego stwierdzenia, bowiem ów dys-kutant ruszył — podejrzewam — nieświadomie, bardzo czułą strunę kul-turalnej rzeczywistości Białostoczczyzny.

Barwa tej struktury polega na splocie tradycji, folkloru i sztuki ludowej, które są siłą naszej ziemi. Nie można „pustym śmiechem” kwitować auten-tycznej pasji białostockich ludowców skupionych w zespołach folklorysty-cznych, (statystycznie można mówić nie o setkach a tysiącach osób) twórcach ludowych uzyskujących nagrody za swoje dzieła na przeglądach krajowych, tkaczkach o światowej wręcz sławie, pisankarkach, które mają zwolenników wśród dzieci, w sensie twórczym. Moja firma i skupieni wo-kół niej instruktorzy, konsultanci i pasjonaci z ośrodków terenowych, z wielką pieczołowitością dbają o kalendarz obrzędowy.

Coroczne spotkania kolędnicze, przeglądy pn. „W poszukiwaniu folklo-ru”, wystawy i kiermasze pisanek i palm wielkanocnych, konkursy na ciasto obrzędowe, wieńce dożynkowe, zyskujące coraz powszechniejszą aprobatę społeczną, „Noce Świętojańskie” i „Noce Kupały” tradycje „Zie-lonych Świątek” czyli Święta Ludowego, dożynki ludowe, mają swoją wartość i znaczenie w życiu wsi. Staję w obronie pracowników kultury, dla których folklor i sztuka ludowa, stanowi życiowy dorobek twórczy. Jest ich wielu.

W obecnym czasie, kiedy odwaga staniała i można wypowiadać swoje sądy publicznie, słusznie lub nie, wypowiadać z argumentami lub bez,

kompetentnie lub dyletancko, a często po to tylko, żeby być zauważonym, ucierpieć mogą niesłusznie ci, którzy naprawdę oddani są sprawie, w tym przypadku kulturze ludowej. Powiem więcej. Obserwując codzienność i dynamikę przemian, wydarzeń i zjawisk społecznych, nie dostrzegam w prasie, telewizji i nie usłyszałem w radiu, aby strajk podjęli pracownicy kultury. Cenić ich trzeba za wysokie morale, bo przecież podmiotem ich pracy jest człowiek i jego wnętrze. Nie dotykam świadomie kwestii placowych, bo właśnie w tym miejscu mógłbym spowodować we własnym gronie „ów pusty śmiech”. Szkoda, że autor wspomnianego stwierdzenia prócz śmiechu nic zebranych nie zaproponował.

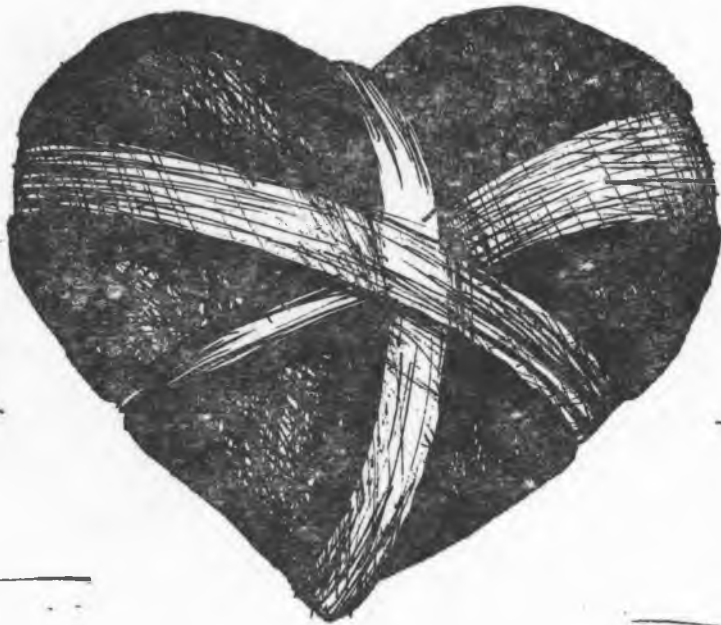
Przemiany, jakich oczekuje wieś białostocka muszą być realistyczne i konsekwentnie wprowadzane w życie. Proponuję, aby odbyć w każdej gminie spotkania wszystkich sił społecznych, których celem byłoby określenie faktycznych potrzeb i zadań. Zdążające ku otwartości i pluralizmowi życie społeczne w PRL musi zaistnieć także w kulturze. Stawiam tezę, że placówka kultury powinna być własnością społeczności lokalnej i tej społeczności służyć. Wpływ na charakter i dobór najbardziej trafnego jej zagospodarowania powinna mieć reprezentacja społeczna wsi z lekarzem, nauczycielem, sołtysem i księdzem lub popem włącznie. Pracownik kultury natomiast, powinien skupiać wszystkie nici dobrych pomysłów i je realizować. Folklor i sztukę ludową, aby przetrwały materialnie i duchowo przez następne pokolenia, trzeba uznać za własne — rodowodowe, środowisko i edukacyjne wartości. Tego trzeba uczyć od dziecka, w domu, w szkole i domu kultury. Włączyć odważnie do programów nauczania w szkołach — korzenie, historię i kulturę ludową własnego regionu. Zapoznać dzieci i młodzież z osobowościami twórców ludowych i folkloru. Nie wstydzić się nauki na unikalnych instrumentach ludowych. Nie zagiąć wówczas piękno brzmienia harmonii 3-rzędowej, czy popularnej na białostocczyźnie harmonii pedalowej.

Folklor i sztuka ludowa, ta prawdziwa, wynikająca z przebogatej tradycji kultury ludowej, musi znaleźć prawo obywatelskie w programie rozwoju kultury do 2000 r.

Za to odpowiadamy wszyscy i Pan też, jako działacz ludowy partii chłopskiej, której kultura ludowa jest najbliższa.

Zapraszam Pana na szczerą wymianę poglądów w tej słusznej dla nas obydwóch sprawie. I Pana Redaktora też.

Kazimierz Maksymilian Derkowski



DM O r a k a n s k i 89

